MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 22. WARSZAWA, 14 MAJA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

KREDYT I KRYZYS

OSTATNI kryzys amerykański i załamanie się dolara zwróciły uwagę na skutki nadmiernej rozbudowy aparatu kredytowego. Wiadomo bowiem powszechnie, że St. Zjednoczone bynajmniej nie były zmuszone do odstąpienia od parytetu brakiem złota lub deficytem bilansu płatniczego, a zrobiły to jedynie ze względu na wewnętrzne trudności gospodarcze. Długi przemysłu, rolnictwa i handlu w St. Zjednoczonych wynoszą około 150 miljardów dolarów. Były zaciągnięte w okresie dobrej konjuktury i wysokich cen. Dziś mają być spłacane przy złej konjukturze i nizkich cenach. Oczywiście w tych warunkach nie mogą być wogóle spłacone. W ten sposób wielki rozrost kredytów, które uchodziły za dobrodziejstwo w czasie pomyślnej konjuktury, staje się dziś kulą u nogi w polityce St. Zjednoczonych i węzłem gordyjskim, dla którego rozcięcia zdewaluowano dolara, choć pokrycie jego wynosiło do chwili obecnej około 60 procent, a bilans płatniczy St. Zjednoczonych jest stale dodatni, to znaczy, że więcej złota i obcych walut napływa do St. Zjednoczonych, niż się ze St. Zjednoczonych wywozi. Widocznie w nadmiernej rozbudowie kredytu musi tkwić przyczyna olbrzymich wstrząsów gospodarczych. Zagadnienie to warto poddać dokładniejszej analizie.

Zacznijmy od lepszej strony kredytu. Gdy w okresie powojennym St. Zjednoczone zaczęły odczuwać spadek zbytu na rynkach europejskich, które w latach wojny wchłaniały olbrzymie ilości amerykańskich produktów, gdy równocześnie przemysł angielski i niemiecki znów wystąpiły do walki z eksportem amerykańskim na rynkach Azji, Południowej Ameryki i Australji, podjęto w St. Zjednoczonych próbę rozszerzenia rynku wewnętrznego, drogą zorganizowania na olbrzymią skalę sprzedaży ratalnej. Można było wówczas nabyć samochód, wpłacając gotówką 5 dolarów, można było na spłaty tygodniowe, rozłożone na okres kilkuletni, kupować całe urządzenie mieszkania, albo cały gotowy dom, można było także na kredyt, z minimalnemi kapitałami własnemi, zakładać wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe.

Wszystko szło świetnie. Robotnicy, którzy mieli pracę w fabrykach, mogli spokojnie obciążać się długoletniemi zobowiązaniami. Zaciągając długoterminowe zobowiązania, mogli liczyć na pewny zarobek, wobec olbrzymiego wzrostu produkcji. Z każdym miesiącem rosło zapotrzebowanie na towary, podniecane sztuczną propagandą i rosły równolegle możliwości zarobkowe.

Wobec świetnego rozwoju produkcji i spożycia utrwaliła się wiara w twórczą rolę kredytu. Udzielając nowych pożyczek, stwarzano nowy popyt. Stwarzając nowy popyt, dawano nowe możliwości zarobkowe.

Przy finansowaniu zbytu i inwestycyj w okresie dobrej konjunktury, stworzono kredyt w sposób nieraz sztuczny, a nie tylko drogą zdrowego zasadniczo gromadzenia drobnych oszczędności i rozdzielania na tej podstawie pożyczek. Trudno na tem miejscu opisywać szczegółowo technikę sztucznego pomnażania kredytu. Przykładowo tylko wskazać można na wzrost obiegu czeków i weksli, na zastawianie w bankach obligacyj, na wymianę weksli przez dwa przedsiębiorstwa, należące do tego samego koncernu (system Kreugera) i t. d.

Cały ten system działa bardzo dobrze dopóty, dopóki przy pomocy kredytu nie stworzy się zbyt wielkiego aparatu produkcyjnego. Niektórzy ekonomiści twierdzą, że potrzeby ludzkie są nieograniczone, że zatem nie może być ogólnej nadprodukcji. Uczą oni, że rozrost wytwórczości może być „nieskończenie wielki“. Sprawa ta jest w ekonomji oddawna przedmiotem sporów, naogół jednak panuje przekonanie, że nadprodukcja ogólna nie jest możliwa, że natomiast często zdarza się rozrost produkcji, niedostosowanej do potrzeb spożywców pod względem rodzaju, i ten brak dostosowania jest przyczyną gospodarczych przesileń.

Spór ten, jak wszystkie spory ekonomiczne, nie będzie z pewnością nigdy jasno i definitywnie

rozstrzygnięty. Faktem jest jednak, iż dla wytłumaczenia ostatniego kryzysu nie trzeba uciekać się do przyznania, że istnieje możliwość ogólnej nadprodukcji. Popełniono tylko błędy w kierowaniu kapitałów do poszczególnych działów wytwórczości.

W okresie dobrej konjunktury rośnie spożycie i rośnie wytwórczość artykułów bezpośredniego spożycia, jak tkaniny, meble, samochody, żywność itd. itd. Przemysł, wytwarzający dobra bezpośredniego spożycia, musi rozszerzać swe warsztaty pracy. W tym celu nabywa większą ilość dóbr inwestycyjnych: maszyn, żelaza, cementu itd. Z kolei wzmaga swą wytwórczość przemysł, wytwarzający artykuły inwestycyjne. Gdy w pewnej chwili zbyt wielka ilość kapitału zostaje skierowana ku inwestycjom, zwłaszcza zaś ku rozszarzeniu warsztatów pracy, wytwarzających artykuły inwestycyjne, następuje zachwianie równowagi.

Okazuje się, że spożywca nie potrzebuje już tej ilości tych artykułów, które mogą mu dostarczyć fabryki tak zwanych dóbr bezpośredniego spożycia, nie znaczy to jeszcze, że wogóle niczego już nie potrzebuje. Te ostatnie atoli przestają inwestować. Wobec tego niema co robić przemysł inwestycyjny. Wskutek tego tracą pracę liczne rzesze robotników. To pociąga za sobą oczywiście zmniejszenie spożycia. Wskutek zmniejszenia spożycia następuje z kolei spadek zatrudnienia już nietylko w hutach, cementowniach, czy kopalniach węgla, ale także w fabrykach artykułów spożywczych, włókienniczych, w fabrykach samochodów, aparatów radjowych itd. Znów rozpoczyna się proces zmniejszania stanu zatrudnienia, wpływający z kolei na spadek spożycia, i tak dalej, *da capo al fine*.

Powstaje lawinowy spadek produkcji, tak jak poprzednio mieliśmy do czynienia z lawinowym tej produkcji wzrostem. Okazuje się, że przeprowadzono mnóstwo inwestycyj najzupełniej niepotrzebnych. Długi, zaciągnięte w okresie wysokich cen, stają się ciężarem nie do wytrzymania w okresie cen nizkich.

Czy byłoby to możliwe, gdyby nie wymyślono całego szeregu sposobów sztucznego pomnażania kredytu?

Normalnie rozwój przemysłu i ruchu inwestycyjnego następuje w miarę rozszerzania się sprzedaży dóbr bezpośredniego spożycia. Przemysłowiec, w miarę gromadzenia zysków, rozszerza warsztat pracy. W ten sposób reguluje się również wytwórczość maszyn dla przemysłu. Bez sztucznych zastrzyków kredytowych rośnie ona w miarę wzrostu popytu. Mógłby ktoś powiedzieć, że rozwój, idący tą drogą, bez uciekania się do finansowania zbytu i finansowania inwestycyj, jest bardzo powolny. Ma on jednak jedną zaletę: nie doprowadza do gwałtownych spadków, takich, jakich świadkami jesteśmy dzisiaj. Gwałtowne skoki konjunktury wgórę okupione są gwałtownemi upadkami.

Pozatem rozrost kredytów ma jeszcze tę złą stronę, że czyni życie gospodarcze niesłychanie mało odpornem. Jeżeli przedsiębiorca nie zna innych kosztów, prócz kosztu robocizny i surowca oraz kosztu utrzymania urządzeń fabrycznych, to przesilenie i ograniczenie zbytu nie może narazić go na bankructwo, nawet w razie unieruchomienia przedsiębiorstwa. Jest on każdej chwili gotów do ponownego uruchomienia warsztatu pracy, a w miarę obniżania cen surowców i cen robocizny może zmniejszyć cenę produktów i tą drogą przystosować się do zmienionej konjunktury.

Inaczej się ta sprawa przedstawia, jeżeli przedsiębiorca obciążony jest kosztami kredytu. Wówczas spadek cen surowców i spadek zarobków robotników nie może znaleźć pełnego wyrazu w obniżeniu cen wytworów fabrycznych. Wobec tego, w razie zmniejszenia obiegu pieniężnego lub innych okoliczności, wpływających na obniżenie poziomu cen, warsztat pracy do zmienionych warunków przystosować się nie może. Musi ograniczyć wytwórczość, bo nie może tak obniżyć cen, by zbyt utrzymać na dawnym poziomie.

Wiadomo, czem dla nowoczesnego przedsiębiorstwa jest ograniczenie stanu zatrudnienia. Oznacza ono automatyczny wzrost kosztu produkcji, obliczonego na jednostkę wytworzonego dobra. Jest to wynikiem tak zwanej sztywności kosztów. Koszty handlowe, amortyzacja urządzeń, koszty kredytu, ciężary publiczne — wszystkie te składniki kosztu własnego nie zmieniają się w swej bezwzględnej wysokości, gdy spada produkcja. W ostatnich latach, równocześnie z wzrostem ciężarów publicznych, postępuje wzrost kosztów kredytu i kosztów handlowych.

Tą drogą następuje „usztywnienie“ życia gospodarczego, które staje się zupełnie nieodporne na załamania, spowodowane nadmiernemi i błędnemi inwestycjami, niedostosowanemi do możliwości zbytu.

Ze szczególnym naciskiem pragnę zwrócić uwagę czytelników na dziwny paradoks, tkwiący w skutkach współczesnego życia gospodarczego: przedsiębiorstwa przemysłowe muszą stale wyzyskiwać swą zdolność przetwórczą, by koszty ogólne rozłożyć na większą ilość towarów.

By utrzymać zbyt, trzeba mieć możność obniżania cen. Równocześnie jednak w kosztach wytwarzania coraz większą rolę odgrywają czynniki bezwzględnie stałe: koszty kredytu i niektóre ciężary publiczne. Należy ściśle rozróżnić te koszty, niezależne od ogólnego poziomu cen i stanu zatrudnienia, od kosztów ogólnych, które są zależne od poziomu cen, a niezależne od rozmiarów zatrudnienia. Do tej drugiej grupy zaliczyć należy np. płace administracji lub koszt ruchu tych maszyn, które, jak turbina parowa, pracują jednakowo bez względu na to, czy zakład przemysłowy uruchomiony jest w pełni, czy częściowo. Charakter drugiej grupy kosztów nakazuje w okresie złej konjunktury obniżyć ceny, tymczasem pierwsza grupa kosztów czyni bardzo trudnem przeprowadzenie ich redukcji.

Ten dylemat, trudny do rozwiązania nawet w Polsce, występuje z dużą większą jaskrawością w krajach o rozwiniętym systemie kredytów, jak naprzykład — Stany Zjednoczone. Dylemat kredytowy w tych krajach można rozwiązać tylko cesarskiem cięciem dewaluacji.

Jakież wnioski praktyczne wyciągnąć można z powyższych uwag?

Niewątpliwie aparat kredytowy nie da się w obecnej chwili z życia gospodarczego wyeliminować. Gdy ograniczy się on do gromadzenia drobnych oszczędności i ostrożnego udzielania pożyczek, nie wywrze wpływu ujemnego, gdy jednak wytworza się chorobliwe formy sztucznego pomnażania kredytów przez banki, gdy w związku z tem wzrasta dyktatorska rola finansów w życiu gospodarczem, musi przyjść nieuchronne załamanie, jakiego świadkami jesteśmy obecnie.

WOJCIECH ZALESKI

PODWÓJNA MIARA

DĄŻENIE narodu niemieckiego do zupełnego uwolnienia się od żydów, wzmożone obecnie przez rząd Hitlera, wywołało w świecie żydowskim burzę nienawiści, złorzeczeń, pogróżek i prób przeciwstawienia się czynnego. Niema określeń tak oszczerczych i obelżywych, któremiby żydzi wczorajszych swoich sojuszników nie obrzucali, niema fałszów i oszustw, któremiby przeciw Niemcom się nie posługiwali. Do wrzasku swojego usiłują przytem wciągać inne narody, a w tym celu nie gardzą odwoływaniem się do ich moralności chrześcijańskiej i kultury katolickiej, stale pozatem przez żydostwo zwalczanej i ośmieszanej. Wmawiają zatem, że czyn Niemców grozi ruiną cywilizacji europejskiej, zamordowaniem ducha ludzkiego, omal nie kataklizmem kuli ziemskiej i straszliwem zakłóceniem obrotu brył słonecznych w naszym systemie galaktycznym. Maleńka przesada tego tańca obłąkanych oczu, gestów i słów opiera się jednak na niezachwianej trzeźwości w starannem omijaniu jednej prawdy, która stanowi grunt całej sprawy, prawdy od wieków uznawanej przez żydów, a teraz zastosowanej przez Niemców.

Niemcy — oto — zapragnęli być sami we własnym narodzie gospodarzami, sami własnego ducha i kultury twórcami i pracownikami. Czy istnieje na świecie pragnienie prostsze i zdrowsze? Czy nie ta właśnie ambicja samodzielności stanowi główny silnik cywilizacji ludzkiej? Czy nie ona czynna jest nawet w naśladownictwie, w tem, że własnym chce naśladować duchem i własnemi rękami? Czy zanik takiego pragnienia i ambicji nie jest wskazówką upadku, słabości, choroby i śmierci narodu? Kto, jak kto, ale żydzi nie mają potrzeby poszukiwania i odkrywania pewników tej prawdy, jasnej i prostej, oni bowiem od trzech tysięcy lat tą prawdą świadomie trwają, żyją, oddychają. Niema na ziemi narodu, któryby z taką, jak żydzi, godną poszanowania wytrwałością ochraniał społeczność swoją od przenikania w nią ludzi obcych, a ta ich wola narodowa nie cofa się nawet przed potwornością krwawych zbrodni gromadnych, co historja żydostwa niejednokrotnie stwierdza. Czemuż tedy, co jest chwałą narodu żydowskiego, ma być hańbą narodu niemieckiego?

Żydzi do siebie i do innych stosują miarę podwójną, osławioną moralność murzyńską: „Piekło temu, kto moją żonę zjada, niebo mnie, gdy cudzą żonę na śniadanie spożyję!" Żydostwo jednak, jako od murzyństwa sprytniejsze i bezczelniejsze, zabezpiecza sprawę swoją takim argumentem, że jego żona jest nietylko od niemieckiej, ale wogóle od żon całego świata pulchniejsza i bardziej aromatyczna. W harmidrze, jakim teraz żydzi prasę swoją i cudzą napełniają, ciągle przewija się wołanie, że Niemcy, usuwając żydów, pozbywają się z kraju swojego najlepszych pracowników wszelkich dziedzin, najbardziej utalentowanych artystów, pisarzów, uczonych, profesorów, wynalazców, sam kwiat wszechludzkiej umysłowości, najprzedniejszy zasiew ducha i kultury. Pomińmy tu oczywistą, drugą maleńką przesadę magalomanji żydowskiej i przyjmijmy na chwilę, że to jest prawda. Czyż wobec tego nie przybywa Niemcom jeszcze jeden ważny powód tem szybszego i gruntowniejszego z pośród siebie usunięcia żydów? Jeżeli bowiem naród pragnie samodzielnie tworzyć swoją kulturę, a do tego wtrąca się ktoś obcy, to sprawa tem większej nabiera ostrości, im ów natręt zdolniejszy jest i obrotniejszy.

Naród niemiecki nie chce w cudze pióra się stroić, nie chce swojem imieniem opatrywać tworów genjuszu żydowskiego, nie chce korzystać z prac, w łonie kultury niemieckiej przez żydostwo dokonywanych. Cóż to za zbrodnia? Ale żydzi stają na głowie i krzyczą, że świat wywrócił się do góry nogami. Żeby zaś w jeszcze większe *odium* Niemców pogrążyć, pomawiają ich, że wszczęli „bestjalską krucjatę" przeciw kulturze żydowskiej. Pomińmy tu raz jeszcze trzecią maleńką przesadę, że jakoby istnieje jakaś kultura żydowska. Przyjmijmy na chwilę, że istnieje. W takim razie powstaje pytanie: Czy to Niemcy zorganizowały najazd na Judeję, na jej ziemie, naród, przemysł, handel, szkoły, sztukę, literaturę i naukę, czy raczej żydzi uprawiają to na Niemcach? Ze swoistej logiki żydowskiej wynika, że kiedy, naprzykład, Polacy bronili ziemi swojej i kultury przed rusyfikacją i germanizacją, to nie bronili siebie, lecz prowadzili bestjalską krucjatę przeciw kulturze rosyjskiej i niemieckiej. Judaizacja kultury Niemiec współczesnych jest dalej posunięta i złośliwsza, niż judaizacja narodów romańskich i słowiańskich. Zapewne dlatego Niemcy, jako państwo, wyprzedziły inne państwa w przebudzeniu się i otrząsie z poczwarnej zmory dusicielskiej, a to właśnie w chwili, gdy przemówił naród niemiecki.

Jeżeli to, co czuje, myśli i robi ghetto żydowskie, w każdym kraju własnowolnie w sobie zamknięte i ogrodzone, dla krótkości i eufonji nazwiemy kulturą żydowską, to proszę wskazać naród, któryby zamierzał na tę kulturę najazd czynić, cech narodowych ją pozbawiać, religję żydowską zwalczać, do spraw tej kultury się wtrącać, swoimi ludźmi do niej przenikać, od wewnątrz ją rozsadzać, jak to żydzi z kulturami innych narodów metodycznie czynią...? Jeżeli syjonizm jest szczerem dążeniem żydów do stworzenia realnych podstaw dla swojej kultury narodowej, to proszę wskazać naród, któryby z mniejszą od samych żydów życzliwością do idei syjonizmu się odnosił, przeszkody mu jakie obmyślał, żydów gwałtem w kraju swoim zatrzymywał, z żalem wyjeżdżających żegnał...? Nikt nigdy i nigdzie na skarby kultury żydowskiej oskomy nie miał i nie ma, jej bezpieczeństwo i nietykalność od wieków i na wieki przez sam jej zapach są zapewnione, jakiż więc powód podać mogą żydzi dla wrzasku o zagrożeniu swojej kultury narodowej? Ten oto, że żaden naród, a w tej chwili szczególnie naród niemiecki sam kulturze żydowskiej ulegać nie chce. Klasyczny, zaprawdę, przykład dla znanego przysłowia francuskiego:

> „To zwierzę jest piekielnie złe:
> Napastowane — broni się!!".

W stosunku do Niemców Polska więcej, niż ktokolwiek miałaby przyczyn do stosowania w tej sprawie miary podwójnej. Wygnanie żydów da Niemcom zdrowie, zwartość i siłę narodową, co przedewszystkiem zagrozi Polsce. Wygnani z Niemiec żydzi zwalą się na Polskę i będą ją jeszcze

skuteczniej, niż dotychczas, rozkładali — także na korzyść niemiecką. Pomimo wszystko cześć dla prawdy i uczciwości, czyli własna godność stawia naród polski, wobec sporu żydowsko niemieckiego, na stanowisku bezstronności. Choć Niemcy przeciw nam nie raz już żydów używali, Polska ma przyrodzony wstręt do broni tak plugawej.

Zwyczajem swoim obok wojennych okrzyków nienawiści i zemsty przeciwko Niemcom, obok szantażowania świata zapomocą ekspozytur swoich — masonerji i socjalizmu, żydzi puścili nadto w ruch wypróbowany swój w takich razach aparat płaczu, uniżoności, skarg i lamentów. Umieją ci histerycy jedno z drugiem w tym samym czasie łączyć. Liczą na głupotę serc ludzkich, które nawet na melodramacie łzy ronić gotowe. Od wieków grali na czułostkowości, od wieków zatruwali nią społeczeństwa cudze, od wieków z niej zyski dla siebie wyciągali. Rachują także na nieznajomość historji żydowskiej, na fałszywe o niej pojęcia, które sami pilnie w narodach szerzą. A wreszcie wierzą w niepamięć ludzką, która, istotnie, bywa zadziwiająca. Obecnie jednak warunki dla sprawy żydowskiej gruntownej ulegają zmianie. Jeszcze do czasu wojny światowej pojmowali ją w całości tylko nieliczni znawcy jej, historycy i politycy. Teraz, naskutek rozrostu ogromnej i popularnej literatury o żydach, otwierają się na nich oczy całych społeczeństw, a z powodu jawności i szybkiego tempa życia politycznego coraz trudniej liczyć na niepamięć...

Ci sami żydzi, którzy tak na Niemcy hitlerowskie pomstują, takie korowody płaczek z wydzieraniem sobie włosów, z popiołami i worami urządzają, ci sami przed piętnastu laty, a i potem, miljonowe rzezie narodów aryjskich sprawiali, we krwi i błocie najohydniejszych morderstw z rozkoszą się pławili. Rosja bolszewicka, rewolucja węgierska, rewolucja niemiecka, najazd bolszewików na Polskę, rewolucja hiszpańska, pożary, zniszczenia, miljony trupów, czad rytualnej nienawiści, a przytem—hosanna żydów, ich radość, ich zachwyt niebiański, ich błogosławieństwa całemu temu ich własnemu bestjalstwu... czy o tem wszystkiem mógł zapomnieć ktokolwiek żyjący a uczciwy? Wobec tej nieogarnionej w rozmiarach ohydy żydów, którą i w dalszym ciągu jawnie narodom grożą, w hasłach i teorjach socjal-komunizmu stale ją propagując i zachwalając, czemże jest gwałtowny, bodaj brutalny odruch narodu, który wypędza od siebie oszustów, zbrodniarzów, szantażystów, brudnych, czających się pasorzytów i podpalaczów cywilizacji aryjskiej...?

Żydzi płaczą. Niechajże spojrzą na łapy własne — purpurowe i lepkie od krwi ofiar pomordowanych.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

„9 GRZECHÓW CUDZYCH“ I KODEKS KARNY

PAMIĘTAMY jeszcze te czasy, gdy przeciętny polski inteligent z Królestwa, nie będąc bezwyznaniowym i nie odnosząc się nawet do spraw religji i Kościoła niechętnie, niezmiernie rzadko jednak zwracał się myślą do przepisanych przez religję i Kościół wskazań, tkwiących pomimo to, niekiedy mocno, choć czasem nieświadomie, w jego psychice. Rzadko również zastanawiał się nad rolą, odgrywaną przez Kościół w ciągu wieków. Dla nas, starszych, potężny prąd nawrotu do wiary i do praktyk, jaki obserwujemy dziś wśród powojennych pokoleń szeregu narodów, i prostolinijność dzisiejszej młodzieży wobec nakazów Kościoła są zjawiskami nowemi. Nowym też jest dla wielkiej liczby jednostek nawrót myślowy do wskazań, zawartych w przepisach katechizmowych formułek, połączony tak często z odkrywaniem w nich tejże samej mądrości, jaką jednostka nabywała niekiedy w ciągu długich lat życia na innych zupełnie drogach: czyto z modnej nauki yogów, czy z przepisów lekarskiej wiedzy, czy z osobistych przeżyć i rozmyślań, wśród których ważyły nieraz mocno doświadczenia, zaczerpnięte ze stosunków Sowdepji.

Przedsiębrane na skutek owego myślowego zwrotu porównywanie przepisów Kościoła z pracami filozofów lub prawodawców, odkrywając niekiedy niesłychanie daleko idące i nieoczekiwane perspektywy, stanowi zawsze miłą rozrywkę dla umysłu.

Weźmy np. jedną z ksiąg, regulujących nasze życie społeczne, której nowe wydanie uzyskaliśmy w roku ubiegłym, Kodeks Karny, i przyłóżmy do jego paragrafów którekolwiek z przykazań Kościoła, choćby np. „9 grzechów cudzych“, które to tak trudno było wyliczyć, ucząc się ich w dzieciństwie, bez pomyłki.

Pierwszy „grzech cudzy“ brzmi: Komu grzeszyć kazać, drugi: Komu grzeszyć radzić. W Kodeksie Karnym (1932) odpowiada im art. 26 o „podżeganiu“. „Podżegania“, brzmi ów art. 26 Kodeksu, „dopuszcza się, kto inną osobę nakłania do popełnienia przestępstwa“. Pod ten sam artykuł Kodeksu zaliczyć również należy czwarty z „grzechów cudzych“: Kogo do grzechu pobudzać. Kościół, podając trzy formuły, zamiast jednej, którą posługuje się Kodeks, bardziej subtelnie rozróżnia te trzy stopnie winy, inną jest bowiem wina tego, który każe komuś grzeszyć, który radzi komuś grzeszyć i który pobudza kogoś do grzechu.

Zaraz po art. 26-ym o podżeganiu, mamy w Kodeksie Karnym (1932) art. 27 o pomocnictwie. Art. ów brzmi: „Pomocnictwa dopuszcza się, kto do popełnienia przestępstwa udziela pomocy czynem lub słowem“. Artykułowi temu odpowiadają, używający dosłownie tego samego określenia, 5-y „grzech cudzy“: Komu do grzechu pomagać i 6-y „grzech cudzy“: W cudzym grzechu uczestniczyć. Zarówno jak w Kodeksie, mamy i w Katechiźmie rozróżnienie między bardziej czynną a bardziej bierną pomocą.

3-i, 7-y i 9-y z „grzechów cudzych“: Komu grzeszyć pozwalać, Na cudzy grzech milczeć i Grzeszącego nie wyjawiać, precyzują winy nie współdziających z winnym, ale tych, którzy, spotkawszy na swej życiowej drodze winę lub przestępstwo, pozwalają biernie przestępcy wbudowywać w otaczającą nas rzeczywistość zło i, pozostając osobiście czystymi, nie występują przeciw złu i nie przyczyniają się do zwalczania go. Kodeks Karny, zacieśniając się z konieczności do spraw ze swego zakresu, ujmuje to w art. 148-ym:

„Kto utrudnia lub udaremnia postępowanie karne, pomagając sprawcy przestępstwa uniknąć odpowiedzialności karnej... podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu“.

Pozostaje jeszcze 8-y „grzech cudzy“: Cudzemu grzechowi nie zapobiegać. W K. K. odpowiada mu, ujęty z konieczności w sposób nieco grubszy, mający jednak na oku ten sam cel art. 37 prawa o wykroczeniach: „Kto... nie zawiadamia odpowiedniej władzy lub osoby o wiadomem mu niebezpieczeństwie, grożącem zdrowiu lub życiu ludzkiemu, albo mieniu w znacznych rozmiarach, podlega, jeśli za czyn nie grozi kara surowsza, karze aresztu do 3 miesięcy lub grzywny do 3000 złotych“.

Analogja, przeprowadzona powyżej pomiędzy paragrafami Kodeksu a orzeczeniami Katechizmu, świadczy o rzeczy znanej: że prawo musi się pokrywać z etyką. Jeżeli w przebiegu dziejów napotykamy najrozmaitsze prawodawstwa, dzieje się to dlatego, że rozmaicie kształtowały się w ciągu wieków poglądy w zakresie etyki.

Jednocześnie będzie rzeczą niezmiernie interesującą zastanowienie się nad tem, dlaczego i „9 grzechów cudzych“ i odpowiednie paragrafy K. K. idą tak często w zapomnienie dziś, w okresie szerzenia się etyki masońskiej.

Gdy Żeromski w „Popiołach“ uchylił przed oczami nieświadomego rzeczy inteligenta polskiego pierwszy rąbek zasłony, otaczającej masonerję, każąc ks. Gintułtowi wołać w chwili niebezpieczeństwa: „do mnie, dzieci wdowy!“ (podobno okrzyk ten brzmi w rzeczywistości: „do mnie, do dziecka wdowy!“ lub „do mnie, do dziecka wdowy z Naphtali!“), naskutek czego Rafał Olbromski, zapominając o przysiędze wojskowej, rzucił się na kirasjerów, stojących przy skierowanych na nieprzyjaciela działach, uderzyła czytelników malowniczość i niezwykłość sceny, nie zastanowiono się jednak nad etyczną stroną takiego lub tym podobnych wydarzeń. Również w antymasońskiej prasie zachodnio-europejskiej najmniej pisze się o etyce masonerji. Podczas gdy istnieją prace, uświadamiające, że formy, symbole i znaki masońskie są pochodzenia żydowskiego, i inne, rozważające kwestję, czy masonerja jest „rządem żydowskim nad światem“, czy też organem i narzędziem tego rządu, niema, o ile mi wiadomo, większych prac, poświęconych przeprowadzeniu analogji między etyką żydowską a etyką masonerji.

Nie ulega jednak wątpliwości, że analogja ta istnieje.

Charakterystyczna dla etyki żydowskiej (nieświadomych rzeczy odsyłam do pracy prof. Zielińskiego „Hellenizm i judaizm“ jest jej wyłączność. Wiemy, że przykazanie miłości bliźniego dał ludziom dopiero Chrystus. Tora głosi wprawdzie: „Nie zabijaj“, ale, jak wiadomo, „Tora jest wodą, Talmud jest winem“, a „słowa rabinów są głębsze niźli słowa proroków“ *(Septer Caphtar 4 — Perach 1590, folio 12).* I słowa „Nie zabijaj“ tłumaczy E. Maimonides w ten sposób, że znaczą one, iż nie wolno zabijać synów Izraela, goje zaś i heretycy nie są synami Izraela. „Jego (goja) życie jest w twojem ręku, o, Żydzie, tembardziej jego pieniądze“, mówi Rabbi Bachei, („Wytłumaczeniu pięcioksiągu“, *folio 213,4).*

Tora głosi ustami Mojżesza: „Nie kradnij“. Ale „własność nie — Żyda jest rzeczą bez właściciela“, pisze Baba Bathza *(folio 576,1 Hochen ha Mischpet. 15b 1)*, „jej prawdziwym właścicielem jest Żyd, który ją posiądzie pierwszy“.

„Nasienie akuma jest to nasienie bydlęce“. „Lepiej rzucić kawałek mięsa psu, niż dać go gojowi“ — mówią ustępy świętych ksiąg żydowskich.

Te jaskrawe przykłady[1]) wystarczą, aby scharakteryzować etykę żydowską.

Nikt oczywiście nie będzie insynuować masonerji podzielania wyżej omawianych poglądów Talmudu i żydowskich uczonych w Piśmie. Należy jednak stwierdzić, że organizacja, która w momencie grożącego jej członkom niebezpieczeństwa nakazuje przekreślić wszelkie inne związki, przysięgi i zobowiązania, honor—jak Rafałowi Olbromskiemu—prawo czy uczciwość, stawia swych członków na tem samem uprzywilejowanem stanowisku wyłączności, na jakiem stawia etyka żydowska Żydów. Masoni są dla ogółu masonów takim samym „ludem wybranym“, jakim są dla ogółu Żydów Żydzi. I etyka i prawo mogą być zawieszone zarówno tam, gdzie zachodzi kolizja między interesem Żyda i nie-Żyda, jak i tam, gdzie obronić trzeba masona. Etyka masońska jest etyką Talmudu.

Gdy do etyki tej przyłożymy wyższą miarę, etycznych wskazań chrześcijańskich, uznać ją musimy za niemoralną, pomimo tulących się pod skrzydła masonerji najrozmaitszych „Związków etycznych“ i szerokiego uwzględnienia na jej pierwszych stopniach spraw etyki. Niemoralność ta, z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej, polega nie na wzajemnem popieraniu się masonów (wiemy, że czwarte przykazanie Boskie: „Czcij ojca twego i matkę twoją“, nakazuje poszanowanie dla istniejących pomiędzy ludźmi związków), ale na tym momencie właśnie, który Żeromski uczynił u nas motywem jednej ze scen powieści, który poruszają niejednokrotnie, jako cechę, nie ulegającą zaprzeczeniom, zachodnio-europejscy badacze masonerji, na owem zawieszeniu i przekreśleniu w pewnych momentach i prawa i wszelkich innych względów dla odwrócenia grożącego któremuś z członków niebezpieczeństwa.

Etyka masońska szerzy się dziś jednak nietylko wśród masonów. Jest rzeczą zrozumiałą, że poznawszy potężny środek, zapewniający jednostce powodzenie, jakim jest jej poparcie i obrona przez współczłonków związku, posuwająca się w razie potrzeby, aż do naruszenia prawa i do istotnej, jeśli nie formalnej kolizji z wymaganiami organów sprawiedliwości, stosować go zapragnęły i inne, nie masońskie stowarzyszenia. Krótkowzroczny utylitaryzm doradzał przyjęcie go, jako środka, wzmacniającego związek, nakazując zamknięcie oczu na wynikające ze stosowania tego rodzaju zasad etycznych skutki.

Przyjrzyjmy się bowiem, na zupełnie abstrakcyjnym przykładzie, do czego doprowadzić może stosowanie etyki masońskiej w życiu.

Przypuśćmy, że jakieś ciało w Polsce, składające się — powiedzmy — w równej liczbie ze zwolenników rządu i z członków opozycji, sądząc dwu współwinnych, z których jeden należy do partji rządowej, drugi zaś jest przedstawicielem zwalczających ją stronnictw, stosować zechce etykę masońską w swem działaniu. Co w takim razie na-

[1]) Cytowane ze Nieczwołodowem: „Mikołaj II i Żydzi“.

stąpi? Zwolennicy rządzącej partji, w myśl zasad masońskiej solidarności, zasłaniać będą winnego, który należy do tej partji, członkowie zaś opozycji, rządząc się temi samemi zasadami, pokrywać zechcą winę swego współczłonka. Wina obu przestanie istnieć. I jednocześnie przestaną istnieć, przekreślone, i prawo i sprawiedliwość.

Zwróćmy się teraz znowu na chwilę od skutków, wynikających ze stosowania zasad masońskich w życiu, do przepisów Kościoła. Kościół Katolicki — mamy tu do czynienia z jedną z tych głębokich perspektyw, jakie nam zastanawianie się nad jego rolą otwiera — nakazuje wiarę w sprawiedliwość, potępiając dualizm, będący równouprawnieniem pierwiastku dobra i pierwiastku zła, (który to dualizm, dodajmy tu nawiasem, jest cechą charakterystyczną Kabały, tej księgi żydowskiej, którą spotykamy zawsze na drodze, spotykając się z masonerją). Nie będzie bowiem tworzyć sprawiedliwości i odbudowywać jej w krwawym nieraz trudzie w życiu ten, kto w wyższość jej nad złem nie wierzy.

Społeczeństwo zaś, w którem zniknęłaby wiara w sprawiedliwość, przestałoby być społeczeństwem, t. j. zorganizowaną na podstawie prawa zbiorową ludzką jednostką, a przeobraziłoby się w bandę walczących z sobą, gryzących się pomiędzy sobą, dążących do wytępienia się wzajemnego ludzkich grup.

Oto dlaczego nie etyka masońska, ale Kodeks Karny i idące równolegle z nim orzeczenia o „grzechach cudzych", czyli zasady katechizmowej uczciwości, rządzić powinny społeczeństwem.

MARJA STECKA

WYGNAŃCY EWY

(OPOWIEŚCI TADEUSZA KUDLIŃSKIEGO)

TYM RAZEM powieść młodego autora (aczkolwiek, jak wiadomo, bynajmniej nie nowicjusza w tej dziedzinie), zupełnie przedmiotowa, t. j. o rzeczywistości poza autorem, nie autobiograficzna [1]). Nie znaczy to jednak, aby indywidualność autora skryła się zupełnie za rzeczami, o których opowiada.

Powieść jest komponowana jako „plecionka" tematyczna. Jest to szereg, w wysokim stopniu samodzielnych ,wątków, wiążących się zresztą z sobą tu i owdzie. Jednym z celów pisarza jest tu dać głębszy „reportaż" współczesnego życia, t. j. kryzysu i miasta. Kompozycja jest zastosowana do tego celu: Wprowadzając wątki wysoce samodzielne, chce autor „podejść" do rzeczywistości „na surowo", wziąć ją przed oczy w całym jej faktycznym „pluralizmie", boć i w życiu nie wszystko ze wszystkiem ma związek. Nie konstruuje więc (fikcyjnego) „wykroju" rzeczywistości, to znaczy, że nie wytwarza w wyobraźni swej jakiegoś, w ścisłą wzajemną współzależność powiązanego, a będącego osobną dla siebie, skończoną całością — splotu zdarzeń — ale daje „przekroje życia".

Nie będę ukrywał, że kompozycję „wykrojową" — jak w tradycyjnej powieści — uważam za wyższą artystycznie: Trudniej bowiem jest stworzyć wyobraźnią fikcyjny światek, zaokrąglony w sobie, niż same samodzielne wątki — (choć tu coprawda daje się wykazać obfitość wyobraźni); a także i czytelnik większą ma przyjemność, kiedy go powieść wciąga w osnowę, w której się wszystko ze wszystkiem łączy, jeśli nie odrazu, to na jakimś głębszym, ostatnim planie, — niż kiedy autor każe mu przeskakiwać od treści do treści. To też, przyznam się, nie bez pewnego kłopotu czytałem początek powieści. Zająłem się jedną osobą, a tu klap! na ekranie ciemno, ktoś nowy. Ledwom się do niego zaczął przypasowywać wyobraźnią, znowu klap! Ktoś inny w tym momencie mi niepotrzebny. Piszę o tem, żeby jako czytelnik przestrzec mniej doświadczonych pisarzy, iż technika przekrojowa i ściśle z nią związana „filmowa" może być niebardzo zabawna i raczej nużyć. W kinie inaczej: Zapłaciłem za miejsce i choćby mię zbytnia różnolitość i pośpieszność obrazów nużyła, siedzę do końca; książkę można odłożyć... Poradziłem sobie tak, żem otworzył książkę na chybi trafi, gdzieś w drugiej połowie, gdzie poszczególne akcje powieściowe były już w pełnym ruchu: teraz, zainteresowanie, jakie autor wywołał we mnie tym ruchem, przeważyło nad owym „kłopotem": przeczytałem powieść szybko i jednym tchem, a potem, już z zainteresowaniem też, bom już był znajomy tych ludzi, odczytałem sobie początek. Powieść „filmowa" jeśli nie ma się narazić na taką jak opisana trudność — (niebezpieczną dla niej!) — u czytelnika, musi odrazu, od początku, „wskakiwać" w pełny ruch akcyj, nie podchodzić do nich z pewną flegmą, jak to jest u Kudlińskiego, co jest zresztą całkiem powierzchowną usterką.

Przypuściłem powyżej, że (przynajmniej) jednym z celów autora było dać reportaż. Myślę jednakowoż, że gdyby cel ten był głównym, to należałoby uważać powieść za niedociągniętą. Coprawda Kudliński, który nie jest literatem zawodowym, tylko prawnikiem i praktykiem w dziedzinie gospodarczej, więc się zna na życiu praktycznem, i dysponuje wcale obfitym materjałem konkretnym z tego zakresu, musiał podpatrzyć ludzi interesu, w ich robocie i ich grze, która nie zawsze jest *fair*, i umie dać zajmujące z tego zakresu zdjęcie. Np. przemysłowiec, spryciarz I klasy, rzuca na rynek towar nie tańszy, ale najdroższy, — choć wcale nie lepszy od konkurencyjnego — bo wie, że tym właśnie sposobem złapie snobów. (Mnie się podobały te „Klozety w łazienkach" przy kalkulacji budującej się kamienicy — przecież to klasyczne dla „nowej rzeczowości" w budownictwie dzisiejszem!).

Dysponuje więc Kudliński materjałem do reportażu, ale jako „reportaż", powieść byłaby, powtórzmy, chybioną — bo jednostronną co do oświetlenia. Słusznie bowiem zauważył już jeden recenzent [2]), że świat, któryby się składał tylko z takich ludzi, „nie mógłby trwać ani godziny". Racja. Reportaż, który ma, z założenia swego, oddawać świat jakim jest, ma tem samem oddać świat, który bądź co bądź trwa — a trwa dzięki nietylko

[1]) „Wygnańcy Ewy", Kraków 1932, Bibljoteka „Gazety Literackiej".

[2]) X. J. Piwowarczyk w „Głosie Narodu".

siłom inercji i przemocy, lecz i dzięki ludziom dobrym — [i dlatego oni właśnie są najwięcej znienawidzeni przez przewrotowców!] — i dlatego reportaż, spełniający swe właściwe zadanie, nie może być samą satyrą—bo przestaje być „reportażem". Czyżby więc była reportażem powieść, której strony zaludniają tylko takie typy, jak budowniczy oszust i szpieg, urzędnik pajac i uwodziciel, sprytnie puszczająca się mężatka, grand-burżujka lubieżna hetera, naukowiec, co „troszkę lubi pieniądze", przytem też troszkę bolszewik, ksiądz sybaryta wykwintny, co także lubi pieniądze, poeta, „histeryk i kabotyn", gotów wejść w najohydniejsze służby, przytem szczęściarz, którego jedyną zaletą jest pewien inteligentny cynizm, nie oszczędzający samego siebie — itp. i w której wkońcu okazuje się, że jeden sympatyczny ale dość anemiczny, nie lubiący wojsk i sportów, hyperwrażliwy chłopak jest jedynym światłym punktem w tym obrazie mieszczańtwa i inteligencji. A gdzież świat na serjo? Ten zawiera się cały w postaci przemysłowca, pana Naftulskiego, który jest tu reprezentantem siły i rozsądku — ale nie „dobrego". Oni wszyscy są prawdziwi, ale nie wyczerpują prawdy społecznej. I dalej, jako reportaż, byłaby ta powieść jednostronna co do tematu, boć przecie powinnaby pokazać świat od spodu, życie ludu miejskiego, którego to tematu absolutnie nie można uznać za wyczerpany przez wątki o złodzieju, prostytutce, żebraku świątobliwym; musiałaby być rodzina; też i sfera inteligencji zawodowej została pominięta: boć i tu typowym obrazem musiałby być obraz rodziny, w której i mężczyźni i kobiety zarabiają, mąż ma żonę-gospodynię, dzieci — matkę-opiekunkę; rodzina burżujska, w której mąż ma w kobiecie tylko reprezentatywną towarzyszkę uciech, córka w matce tylko mentorkę w strojnisiostwie i konkurentkę erotyczną, a syn-idealista wcale nie ma rodziny—jeśli naprawdę jest typową, to chyba tylko w tej sferze. Nie przeczę jednak, że, nawet z temi zastrzeżeniami, ta epicko-reportażowa i na objętość, główna osnowa powieści, skoro już „wskoczymy" w tę wiązankę wątków, czyta się wartko i z zainteresowaniem; czytelnik, który czyta dla rozrywki, nie odejdzie od książki bez zadowolenia. Ale nie tu jest jej walor prawdziwy, artystyczny, w znaczeniu poważniejszem. Bo książka pozostawia *quand-même* uczucie, że tu jest coś głębszego, sytniejszego, niż te malowane gęstemi cieniami, realistyczne migawki reportażowe. Pojmiemy tę, głębszą i myślowo i artystycznie, wartość powieści Kudlińskiego, kiedy weźmiemy tę książkę, jako pisaną przez l i r y k a, w gruncie rzeczy, liryka, który dla swej pierwszej, istotnej t r e ś c i, obrał (żeby się tu posłużyć nomenklaturą prof. Kleinera) k s z t a ł t epicko-konkretny, w s t r u k t u r z e reportażu powieściowego.

Jaki jest sens tego liryzmu? „Odbudowuję" go, odczuwam go tak: Czucie, że wszystko, w tym oto świecie, jest m i a ł k i e. Tajne marzenie ucieczki w jakieś schowanko poza tym światem. To schowanko u Boga. Ale cóż?!... Bezsilna jest wiara. Gdyby jakiś cud?... Ale, czyżby i cud co sprawił?... Cóż więc począć? Wszystko jest miałkie. Wszystko to pogrążone w omdlałym smutku, jakby w jakimś w i o s e n n y m, niedocieczonym, rozkładowym, fermentującym smutku sił, które nie wiedzą, co począć ze sobą. W każdym razie, czuję tu smutek s i ł, nie uwiądu: nie ma tu tej rozdzierającej a ckliwej woni psychicznej wykwintnego u m i e r a n i a, którą ekshalują np. utwory Iwaszkiewicza. To oto czucie, to pragnienie, ten smutek puściły w ruch ów światek powieści, taki sobie dobrały materjał wyobrażonych ludzi i zdarzeń. A w związku z trzeźwem spojrzeniem obserwatora, lubiącego widzieć rzeczy konkretne, podpatrywać ludzi na ich gorących uczynkach, w związku z widocznym w powieści rysem psychologicznej przenikliwości, dały głęboki, choć dyskretny, powiedziałbym „flegmatyczno-stoicki" chwyt i r o n i c z n y.

Wszystko jest miałkie. Bo nie dość, że te typki są tak dobrane, ażeby mogły odegrać sobą tę miałkość, którą pisarz czuje,— ale, nawet, co tu główne, to w s z y s t k o s i ę d o b r z e k o ń c z y... Ten się powiesił, ten siedzi w kryminale, tamten poczciwie umiera, tamta biedula postanawia się sprzedać Szmulowi, żeby ją zawiózł do Argentyny (może tam nareszcie zbierze tę trochę posagu, aby wyjść za swego ukochanego Stacha-złodziejaszka)— tak to prawda, ale to wszystko nie jest ten p r a w d z i w i e p o r z ą d n y świat, w którym po różnych perypetjach wszystko wraca do p o r z ą d k u... Wprawdzie ziemia się trzęsła, były jakieś znaki na ziemi i niebie, wytrącające ich z ich z d r o w e j w tym ciepłym zaduchu równowagi, ale ostatecznie to wszystko minęło, wszystko się jakoś układa... Poeta, który w dni zamieszek patrzył w twarz rozpaczy tłumów opuszczonych i czuł się głęboko przeniknięty, teraz wraca do swego miejsca w redakcji, do swego ciepłego przytuliska w burżujskim domu, pomiędzy matką i córką swego szefa, teraz będzie, spokojny już, w dobrze skrojonem ubraniu, snuł dalej swą p r o l e t a r j a c k ą poezję o b u n t a c h i m a s z y n a c h... Zakochany w sprytnej osóbce uczony, choć przeczuwa, że z jej „posagiem" coś w nieporządku, przymknie na to oczy i przy apetycznej żonie będzie marzył o osieroconej katedrze... Ona, która właśnie pochowała męża samobójcę, dając swemu uczonemu mężowi pokrywać swem nazwiskiem dziecko spłodzone z szefem-kapitalistą, ich obu będzie ogarniać dobrodusznem spojrzeniem solidnej i rozsądnej kobiety... „C h w a ł a B o g u, wyjaśnia się horyzont". Ten *happy end*, opowiedziany przez autora „Wygnańców" z właściwą jego tokowi mowy zwięzłą flegmą, oświetloną od czasu do czasu bladym, inteligentnym, dyskretnym uśmiechem porozumienia się z czytelnikiem, jest najlepszem i zgoła kapitalnem miejscem w powieści. I tu powieściopisarz p o c i e s z a, snując z flegmą myśli jednego z tych sobków, którym się udało: „... Przyszłość wygląda często zbyt groźnie. Teraźniejszość przestrasza. Pamiętać jednak trzeba, że wszystko to stanie się rychło przeszłością, a wtedy? Więc nic nie jest groźne. Wszystko maleje, kurczy się. Tak, trzeba mieć więcej odwagi w tym życiu. Tak była z tym domem, z rozruchami. Wszystko minęło (choć z hałasem,—cicho ułożyło się w przeszłość". Oto stoicyzm, oto jak filozofuje swoisty *vir tenax*. W takiem, nibyto mimochodem rzuconem zdaniu, Kudliński okazuje się ironistą głębokim, o uchwycie już metafizycznym: Więc i taki świat ma w sobie swoją moc, więc i miałkość ma swoje usprawiedliwienie, swoje miejsce w rzeczywistości? To przeraża, ale przerażenie to jest tragiczne. Bo w danym wypadku, niewiadomo, coby, przynajmniej n a r a z i e, mogło ów świat zastąpić?...

Cóż dziwnego, że wobec tego, tajna rozpacz symbolizuje się w jednej z osób powieści (tej wła-

śnie, która autorowi służy za rezonera), która wstępuje do klasztoru? Cóż dziwnego, że powieść realisty owego, nagle wyłamuje się ze swoich szranek — i staje się fantastyczną? Tu już liryzm powieściopisarza eksploduje. Oto, kiedy na ziemi po jednej stronie tak miałko, a po drugiej tak biedno — (tego, niestety z odpowiednim tamtemu konkretywizmem, jak już zaznaczyłem, nie przedstawiono) — wtedy oto dzienniki notują komunikat z obserwatorjum: „...wczoraj o godzinie 11 w nocy ukazało się na niebie w wysokości 3000 m. bardzo silne czerwone światło, widoczne przez 5 minut. Blask był tak silny, że cały horyzont był zaróżowiony. Zjawisko miało kształt dwóch prostych przecinających się (podkr. aut.) i było obserwowane przez liczne rzesze ciekawej publiczności, spacerującej przy pogodnej nocy".

Czy takie poniekąd *deus et machina* nie dewaluuje powieści, czyniąc ją czemś mniej na serjo, skoro powieść jest w założeniu realistyczną, nie fantastyczną? I ktoś, prawowierny katolik, ale o usposobieniu racjonalistycznem, wierzący tylko w te cudy, w które jest obowiązany wierzyć, może mieć zastrzeżenie przeciwko tej cudowności wymyślonej przez powieściopisarza, aczkolwiek w intencji zbożnej.

Co do podpisanego, to ten nie odczuł dysonansu artystycznego. Możliwość cudu została przez autora już przygotowana, przez cudowne zdarzenie w życiu świętobliwego ascety-żebraka, młodego życiowego „konweryty", Ignaca Świerszcza. Religijne nastawienie pisarza jest już wyrażone przez prośby Modlitwy Pańskiej, które służą za nadsłowie rozdziałów. Co do formy, to ten zwięzły lakonizm w anonsowaniu cudownego zjawiska, wraz z dyskretną, zawartą w niem ironją („dwie proste przecinające się!...") — i umieszczenie tego doniesienia mimochodem, pośród flirtu o intencjach mało niebiańskich, a nawet dość obskurnych, bo interesownych, — wprowadza estetyczny moment niesamowitości. To zjawisko wygląda realistycznie, ale coś w niem jest... coś bardzo innego... To właśnie jest „niesamowitość" i to estetycznie wzrusza. (Nawiasem powiedziawszy, podobnych efektów używa Benson w swym „Panu Świata" z doskonałym skutkiem). Ale, co najważniejsze, dopiero na tle tej supozycji psychologicznej, że cały ten prozaiczny realizm powieści jest tylko przeciwważnikiem (*contre-poid*) liryzmu tęsknoty religijnej, który tu już jawnie dobywa się na wierzch, to wprowadzone tu cudowne, ostrzegawcze zjawisko, uzyskuje kompozyjne *placet*. Niemniej jednak zauważyć należy, że tego rodzaju motywy cudowne są w artystycznem myśleniu raczej niebezpieczne, grożą łatwizną — i używać ich można tylko nader oszczędnie i dyskretnie, co w kadym razie przyznać należy.

Publiczność spacerując wieczorem przypatrywała się dwu prostym przecinającym się na niebie z ciekawością. Ale inaczej wzięli to prości ludzie. Ci ujrzeli w tym znaku na niebie znak nawołujący do pokuty. Tak przedewszystkiem pojął to ów Ignac Świerszcz; począł głosić skruchę i modlitwę. Gromadził się dokoła niego z dnia na dzień tłum płaczący, modlitewny, oczekujący końca świata i rzeczy cudownych. Tymczasem jednak wszczęły się rozruchy komunistyczne, miasto zostało opanowane przez rebeljantów (służą tu autorowi za model potworne wypadki krakowskie z r. 1923); wkońcu jednak rozruch zostaje stłumiony, przyczem i pobożny tłum dookoła Swierszcza ulega rozproszeniu, a on sam ciężko ranny dostaje się do szpitala więziennego. Tam umiera powoli jak święty, czyniąc rzeczy cudowne. W szpitalu zapanowała surowa pobożność. Śpiewano godzinki i inne pobożne pieśni. Co wieczór ponuro dźwięczał w sali szpitalnej refren:

> Wygnańcy Ewy — do ciebie wołamy,
> Zlituj się zlituj, niech się nie tułamy!...

Taką tęskną eksklamacją religijnego liryzmu, zaczerpniętą od ludu, kończy się powieść. Powieść to ponura, szyderczo ponura w swojem burżuazyjnem *happy end*, żałobliwie ponura w owym finale sprawy, uosobionej w Świerszczu. Poeta w ten sposób likwiduje symbolicznie swoje marzenie o rewolucji, któraby była chrześcijańską — a wraz z tą likwidacją głębokie zwątpienie religijne; nadwątla jego i współczującego czytelnika nadzieję. Któż wie, a może ten Krzyż na niebie, to naprawdę było tylko jakieś zjawisko elektromagnetyczne?...

Autor „Wygnańców" zbyt jednak jest trzeźwy; i widocznie zanadto chce, aby wyraźnie i tym razem intelektualnie, nie oświadczyć, na czem mu zależy. Oto każe swemu rezonerowi w jednem miejscu powiedzieć: „Jeśli klasa przodownicza nie będzie kierowana idealizmem moralnym i nie wytworzy wśród ludzi — religji, czynnej wiary, której celem będzie potwierdzenie najważniejszych wartości i pobudzenie do takich czynów — wszystko runie". I za chwilę: „To są mrzonki by na zasadzie szczęścia doczesnego, oprzeć świat". Powieść Kudlińskiego, to powieść katolicka, czyli raczej chrześcijańska o typie katolickim.

Jeszcze parę uwag pobocznych. Jest w tej książce, jak już wspomniane było, dobre psychologiczne podpatrywanie. Duszyczka filisterska pani Maszy, sekretarki koncernu prasowego — (ale to nie ten! Szkoda.. możliwość niestety nie wyeksploatawana!) — jest zdjęta *expedite* w całej dobroduszności i... purytanizmie: np. „dzieci nieślubnych Masza nie uznawała. To był stempel rozróżniający kobiety uczciwe od puszczających się" i t. d. Typowe, dla środowisk, w których nie daruje się nigdy po sam koniec życia, momentu słabości dziewczynie, która za to srogo odpokutowała, ale z filuternym uśmieszkiem puszcza się wolno damesę, co pod mężowskie nazwisko wpuszcza cudzą spermę. Dobra jest też psychologja ludu, zresztą bez łezki, na trzeźwo podpatrzona. Ale i jeden z nosicieli liryzmu autorskiego, ten właśnie Ignac Świerszcz, żołnierz zawadjaka, co lubił ryzyko niebezpieczeństwa, andrus hulaka, z zawodu murarz, który spadając z rusztowania zrobił momentalny ślub, że jak się nie zabije, to pójdzie w ślady swego patrona (o którym zresztą nic nie wie), a potem, uratowawszy się ze złamaną nogą — z prostotą a męską rzetelnością ten ślub wypełnia — jest typem ludowym nietylko sympatycznym, ale i napewno prawdziwym.

Co do stylu to podkreślam (ponownie) ironję. Naogół, ściśle rzeczowy, t. j. polega na prostem zestawieniu zdań, całkiem objektywnych: faktów albo myśli osób i już. Czytelnik, jeśli zechce lub potrafi, niech czuje, że to szyderstwo. Język naturalistyczny, rodzajowy, dowcipnie podsłuchany, czy to gdy idzie o proletarjat, czy środowisko p. Maszy (środowisko tych osób średnio wykształconych, których mentalność jest o wiele więcej zwrócona ku sprawom praktycznym i osobistym, niż teoretycznym i powszechnym). Wolałbym jednak, żeby

autor wziął nieco większy — tu i ówdzie — dystans od tego tonu; możeby uniknął kilku zbędnych banalności, żarcików, przytyków, które trochę trącą migawkami kurjerka. Np. niepodoba mi się oklepany już żart złośliwy na temat starych panien, bo w ogólności nie pojmuję w chrześcijańskiem społeczeństwie złośliwości na temat nieszczęśliwych. Pozatem apel do młodych powieściopisarzy wogóle: Mniej, o wiele mniej, stylu dziennikarskiego, kurjerkowej reporterki!

Pomiędzy rozdziały powieści wstawione są karty liryczno-opisowe, mające dać tło akcji: tło lokalne, nastrojowe, cywilizacyjne, nawet klimatyczne — zręcznym sposobem te wstawki są rozstawione na cały rok, podczas którego odbywa się akcja, od jesieni do lata. Niebardzo godzę się na wstawkę pierwszą (oszalały robot) bo ten pomysł już zbytnio wymieniany na drobną monetę. W innych znajduję wiele poezji. Romantyczną groteską, ciekawą i poetyczną, jest wplecenie tyrady Cyrana de Bergerac do księżycowego krajobrazu miasta w nocnej porze. Wena liryczna prowizorycznie jest skanalizowana w tych wstawkach, co pozwala w samym tekście posuwać akcję raźno, bez opisów przyrody, nastrojów i t. p.[2])

A miasto, które oglądamy w tych wstawkach, to jest niewątpliwie ten nasz kochany, ciasny Kraków, który ma swoją szczególną, niepokojącą wiosnę, Kraków, po którym chodzi się powoli, w lekkiem zadumaniu od tych szczytnych wież, sterczących wyniośle w chłodne słońce naszej wiosny, po którym chodzi się w leniwem a tęskliwem upojeniu od gęstego zapachu bzów wiosennych na plantach, po którym błądzi się w wątłem znużeniu od ciżby wiosennej, wikłającej się po ciasnych alejach i wąskich uliczkach, w ogłuszeniu od bezczelnego ryku gigantofonów, o wiele za głośnych na to stare, wyniosłe, wąskie Miasto...

Ta powieść Kudlińskiego obowiązuje go: do czegoś pełniejszego, o dojrzalszym patosie, bez fantastyki z jednej, bez żadnej zdrożności w zdawkowość z drugiej strony. Kudliński ze swym — aczkolwiek pesymistycznym, ale pożytecznym w założeniu — idealizmem z jednej, a chłodną, ironiczną wnikliwością i realizmem spojrzenia, z zamiłowaniem do rodzajowości i znajomością życia praktycznego z drugiej strony—jestem, zdaniem mojem, powołany do dania powieści współczesnej, eksperymentalnej — przez co rozumiem, że pisarz stawia sobie takie zadania myślowe: Jakby konkretnie wyglądało takie a takie na razie tylko wyobrażone, nie prawdziwe, z a j ś c i e społeczne, więc np. jakieś ważne zdarzenie, prąd ideowy, instytucja, na tle danych faktycznie okoliczności? Jest to rzecz właśnie dla artysty, wyobrażać sobie rozmaite możliwości socjalne, tak plastycznie i szczegółowo, jak tego publicysta i uczony socjolog nie będą umieli uczynić, lub nie będą mieli na to miejsca i czasu. Oto podaję mu temat: Poradnia dla chcących się zabić. Pierwszej klasy temat do głęboko sondującego reportażu. Jakież ciekawe i obfite problematy tu się stworzą! Jakiż z tego punktu wgląd w zawikłane losy ludzkie i dusze ludzkie, jakież perspektywy na wolę ludzką, na kwestję społeczną, na pracę społeczną. Ile sposobności do pokazania czysto p r a k t y c z n e g o, od samychże rzeczy pochodzącego tragizmu. Ale to wszystko musiałoby być wsparte o obserwację pełną, nietylko o satyryczną z lirycznymi przeciwważnikami.

A przytem, ponieważ autor „Wygnańców Ewy“ chce nietylko zajmować, bawić, i wzruszać, lecz także poruszać, możeby powieścią na taki lub podobny temat zwrócił uwagę na palącą potrzebę działalności, do jakiej przedewszystkiem powołani są ci, do których dwie proste przecinające się (dokładniej: pod kątem 90⁰), nie są znakiem próżnym sensu.

Zakopane KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[2]) W recenzji z powieści J. Brauna, „Cień Parakleta“ (por. „Gazeta Literacka“, 7/1933) uczyniłem mu z tego samego, co akceptuje u Kudlińskiego — zarzut. Po namyśle nad tą rzeczą, cofam ten zarzut.

NASTRÓJ

W drugą rocznicę śmierci nieodżałowanego pisarza, Zdzisława Dębickiego, idąc śladem wspomnień, sięgnęliśmy do autografów i stąd przedrukowujemy typowy dla jego talentu wiersz z r. 1898 — w celu przypomnienia jego szlachetnej postaci.

Na zielonych łodygach zwiędłe kwiatów czary,
Olbrzymie drzewa mrące w prawiekowym lesie,
Mgła błękitnawo-srebrna gdzieś na widnokresie,
Na cichych jezior wodach białe nenufary...

Przestwory mórz bez granic, po których wiatr niesie
Jak zaświatowe widma skłębione opary;
Dźwięczące pieśnią Ciszy przestrzenie bez miary,
Mistyczne, senne łąki, tonące w bezkresie...

Na nich w miesięcznem świetle srebrniejące zielska,
Białe brzozy, rozwiane nakształt pióropuszy,
Gdzieniegdzie rozpłakana cicha wierzba sielska,

Co na wody strumienia białym puchem prószy,
A nad tem jakaś dziwna tęsknota anielska —
Oto melancholijny nastrój mojej duszy...

ZDZISŁAW DĘBICKI

NA WIDOWNI

Zmniejszone zainteresowanie. — Kłopoty znawcy prawa konstytucyjnego. — Doktrynerstwo w ujęciu zagadnień ustrojowych. — Wpływ zachowawców krakowskich. — Postawa narodowa.

„WSZYSCY ROZUMIEMY", — pisał na dziesięć dni przed ponownym obiorem Prezydenta Rzeczypospolitej socjalistyczny „Robotnik" — „że problem „sanacyjnego" systemu rządzenia nie rozstrzygnie się w dniu 8 maja na sali obrad Zgromadzenia Narodowego. Dzień ten nie będzie wcale „dniem przełomowym" ". Podobnie również i organy obozu rządzącego przestrzegały opinję publiczną, by nie troszczyła się zbytnio, jaka osoba mianowicie zostanie na stanowisko Głowy Państwa „wskazana... z belwederskiej samotni": „Nie jest ani naszem prawem, ani zamiarem wkradać się w świat przemyśleń i decyzji marszałka" — upominał w „Kurjerze Porannym" p. Stpiczyński.

Przyznać trzeba, że społeczeństwo okazało się nader podatne na tę zgodną, z różnych stron w jednakowym kierunku oddziaływającą suggestję. Zainteresowanie Zgromadzeniem Narodowem i wyborami istotnie było mniej, aniżeli mierne. Przeciętny obywatel, „człowiek z ulicy" najmniejszego nie przejawiał zaciekawienia[1]). Jakże całkiem odmienny był, w takich momentach, nastrój mieszkańców Warszawy, czy to w roku 1922, czy chociażby w roku 1926...

Znawca prawa konstytucyjnego zastanowi się w tem miejscu, zaintrygowany: Wówczas władza Prezydenta Rzplitej ograniczona była do *minimum*, obecnie zaś, jak wiadomo, władzę tę w bardzo wydatny sposób rozszerzono, wzmocniono...

— — — — — — — — — — — —

Ale znawca prawa konstytucyjnego ma wogóle rozmaite kłopoty. Przez dziesięć lat dowodził, przekonywająco i uczenie, że parlament w Polsce dlatego tylko nie mógł zapewnić sobie należytej powagi w społeczeństwie i odegrać odpowiedniej roli w życiu państwowem, ponieważ nie potrafił zdobyć się na wytworzenie stałej większości sejmowej. Wiele w tym przedmiocie wygłoszono mów na wiecach, referatów na zebraniach, wiele farby i papieru zużyto, żeby pogląd ten rozpowszechnić słowem drukowanem.

A tymczasem opinja publiczna, tak pasjonująca się, w pierwszych latach po odbudowie Państwa, przebiegiem obrad sejmowych, tak uważnie, z takiem przejęciem się śledząca prace przedstawicielstwa narodowego, nagle poczęła traktować je zupełnie obojętnie z chwilą, gdy ostatnie wybory do izb ustawodawczych dały w wyniku... powstanie trwałej większości parlamentarnej...

— — — — — — — — — — — —

[1]) W chwili, gdy na sali sejmowej dokonywano wyboru Prezydenta Rzplitej, znajdowałem się na przechadzce w parku Łazienkowskim. Głośnik radjowy, umieszczony na zewnętrznej ścianie kordegardy (dziś zamienionej na kawiarnię) w pobliżu pałacu, transmitował hałaśliwie przebieg Zgromadzenia Narodowego. Nikt z pośród spacerujących nie zatrzymywał się, żeby posłuchać. Na pobliskich ławkach publiczność, całkowicie pochłonięta swojemi sprawami: młode pary, zajęte rozmową, studenci pochyleni nad podręcznikiem (zbliża się czas egzaminów), starsze panie, zagłębione w pożyczonym z czytelni romansie, albo strzegące zabawiających się w pobliżu dzieci...

W roku 1921 Polska nadała sobie konstytucję, nie będącą wszelako sformułowaniem tylko, skodyfikowaniem żywych w psychice narodowej pojęć prawnych, określonych, uznanych w świadomości powszechnej zasad i obyczajów, regulujących współżycie w ramach politycznych instytucyj. Z przerwaną, po stuletniej zgórą niewoli, ciągłością tradycyj państwowych, przy niedostatku własnych, pozytywnych doświadczeń w tej dziedzinie, kopjowaliśmy, w sposób dowolny zgoła, obce formy ustrojowe, których mechanizm w krajach, gdzie zostały stworzone, miał odpowiednik w automatyzmie historycznie urobionych instynktów, w rzeczywistości ducha zbiorowego, którego były wyrazem. Gdy zaś u nas mechanizm ten począł zacinać się, działać wadliwie, poczęto szukać przyczyn trudności nie w niedostosowaniu go do warunków i potrzeb polskich, nie w tem, że form konstytucyjnych nie wypełniała żywa treść przeświadczeń i przywiązań narodu, ale w samej technice mechanizmu, w jego sprawności, którą chciano w ten czy inny sposób ulepszyć.

Ten kierunek myślom o reformie od początku samego nadał przedewszystkiem obóz zachowawców krakowskich, silny powagą należących doń uczonych prawników, a w swych nałogach umysłowych mający skłonność do niedostrzegania roli politycznej narodu, jako „istności moralnej" i układania swych idej teoretycznych i praktycznych planów bez wliczania w rachubę tego czynnika. Zaraz po uchwaleniu Konstytucji Marcowej, w maju 1921 r. zorganizowano w Krakowie cykl odczytów[2]), wydany następnie w osobnej książce, p. t. „Nasza konstytucja", który wywarł niemały wpływ na umysły, przygotowane w znacznym stopniu przez historyków tejże szkoły, w szczególności przez Bobrzyńskiego i jego ideał „mocnej władzy". Ale podobny sposób myślenia ogarniał o wiele szersze kręgi opinji: jakże często jedyne lekarstwo na niedomagania ustroju Rzplitej chciano widzieć w takiem przerobieniu ordynacji wyborczej, by przez uprzywilejowanie większych stronnictw umożliwiła wytwarzanie się stałej większości w Izbach prawodawczych. Jakgdyby w rzeczywistości dzisiejszego położenia Polski, w naszej tradycji, w psychologji politycznej narodu polskiego i jego instynktach były warunki dla funkcjonowania, na wzór angielski, „mechanizmu dwu stronnictw", kolejno luzujących się przy sterze polityki państwowej...

Doświadczenia ciężkie, jakie przeżywa naród, przyuczają myśl polską do ujmowania zagadnień ustrojowych bardziej konkretnie, mniej formalnie, mniej po doktrynersku, aniżeli w pierwszych latach po odbudowie Państwa. Trudno już dziś wykrzesać w społeczeństwie zapał dla „reformy konstytucji" pod hasłem „wzmocnienia władzy wykonawczej", albo tłumaczyć mu, że pomyślność powszechna zrodzi się niezawodnie wskutek istnienia „trwałej większości" w parlamencie. Od innej zupełnie strony zbliżyć się należy do tej sprawy...

Ustrój narodowy nie jest czemś dowolnem, przypadkowem, wykombinowanem przez kogoś albo importowanem na chybi-trafi z cudzych krajów: założenia jego muszą tkwić w psychice narodu, w jego poczuciu moralnem i prawnem, w dziedzictwie jego instynktów i obyczaju. W tem rozumieniu,

[2]) Wygłosili je: prof. Wł. Abraham, dr. Tad. Dwernicki, prof. St. Estreicher, prof. Wł. L. Jaworski, prof. St. Kutrzeba, prof. M. Rostworowski, prof. St. Wróblewski i prof. Fryd. Zoll.

naród nie ma dla siebie szeregu konstytucyj do wyboru, ma w poszczególnym okresie dziejowym właściwie jedną tylko, którą trzeba sformułować raczej, niż wynaleźć.

Na jednym choćby przykładzie konkretnym wskazać należy, dla objaśnienia, jak taki właśnie, istotnie narodowy sposób ujęcia kwestyj konstytucyjnych znalazłby w praktyce zastosowanie. W świadomości każdego Polaka jest faktem, nie ulegającym wątpliwości, że jego stosunek psychiczny do Polski, jego moralna odpowiedzialność za jej losy, jego prawa historyczne wreszcie, są różne całkiem, niż zamieszkałego w kraju naszym żyda, i że w naturalnem następstwie tego faktu, żyd ten mieć winien odmienne zgoła stanowisko prawne w Państwie, odmienny, odpowiadający tej różnicy, zakres wpływów i swobód. Postulat taki nie jest jakimś oderwanym, doktrynerskim pomysłem, jest poprostu stwierdzeniem tego, co w poczuciu miljonów Polaków stanowi rzeczywistość niezaprzeczoną, a czego przepisy Konstytucji 17 marca najzupełniej nie biorą pod uwagę.

Ten właśnie brak rozdźwięku między paragrafami ustawy a świadomością prawną i moralną społeczeństwa, stanowi, z narodowego punktu widzenia, główną wytyczną, gdy rozpatruje się zagadnienie naprawy ustroju Rzplitej. Cóż bowiem jest ideałem ustroju narodowego, jeżeli nie najściślejsza zgodność form prawno-państwowych z poczuciem sprawiedliwości, z dziejowemi ideałami i dążeniami narodu?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

W POLITYCE ZAGRANICZNEJ najciekawszą nowiną tygodnia było doniesienie o rozmowach dyplomatycznych polsko-niemieckich, mających zwiastować pewne „odprężenie" w codziennych stosunkach między dwoma narodami. Wiadomość podał PAT. Okazało się przy tej sposobności, jak zupełnie odcięci jesteśmy od wieści z szerokiego świata i jak bardzo zdani na kaprysy tendencyjnej agencji. O rozmowie posła polskiego z Hitlerem, która odbyła się dn. 2 b. m., przez trzy dni nic nie wiedzieliśmy. Dopiero 5 b. m. pisma zamieściły pierwsze komunikaty PAT-a — jednocześnie już z komentarzami prasy angielskiej i francuskiej o tej sprawie. Historja tego spóźnienia raz jeszcze uprzytomnia, co dobrze zresztą było wiadome — że o zdarzeniach ważnych tylko wtedy dowiedzieć się może czytelnik, kiedy czynniki kierujące uważają to za „propagandowe" i właściwe. Od chwili powstania Niemiec hitlerowskich, żydzi-informatorzy uważali za stosowne oczerniać i szkalować. Sekundowała im w tem polska prasa półurzędowa. Za rubrykę „Jak powstaje trzecia Rzesza" „Gazecie Polskiej" odebrany został, jak wiadomo, w trzeciej Rzeszy debit pocztowy. W związku z tem przekomicznie brzmi oświadczenie półurzędowego organu, że uspokajające „oświadczenia Rządów Polskiego i Niemieckiego uznać należy za objaw pomyślny" ponieważ... „nie można prowadzić polityki ani układu wzajemnych stosunków między dwoma wielkiemi krajami w atmosferze plotek". Jak zwykle w takich wypadkach, pominimy złą polszczyznę „Gazety Polskiej". „Prowadzić układu stosunków" nie można nietylko w atmosferze plotek, ale wogóle w żadnej. Najzabawniejsze jednak jest to, że o oczyszczeniu atmosfery z plotek pisze właśnie organ, co najwięcej ją plotkami zanieczyszczał, i wobec Niemiec hitlerowskich, ni stąd ni zowąd, wziął ton o wiele bardziej nieżyczliwy, niż wobec niemniej nam wrogich Niemiec Stresemanna. I gdy „Gazeta Polska" zapewnia, że „Plotek tych właśnie w odniesieniu do stosunków polsko-niemieckich nietylko nie brakło, lecz..." i t. d., to zapewnienie jej nie mniej jest śmieszne przez to, że całkiem prawdziwe. Nie brakło. Ale czemuż trzeba aż było czekać na urzędowe stwierdzenie, że należy mówić tonem przyzwoitszym, żeby z „Gazety Polskiej" zniknęła rubryka „Jak powstaje trzecia Rzesza", i żeby żydzi z półurzędówki przestali pisać jawnie obrażające artykuły o „wojnie Niemiec przeciw cywilizacji".

WŁAŚCIWIE TRZEBA (chłodno myśląc o rzeczy) nazwać to iście żydowską bezczelnością, gdy żydowski korespondent pisze: „*Germania contra Judaea*, lub, ściślej mówiąc, wojna Niemiec przeciw cywilizacji". To Sokołów Florjan z „Gazety Polskiej" w sposób tak charakterystyczny pomieszał Judeę z cywilizacją. Tymczasem ci, którym dobro cywilizacji europejskiej leży naprawdę na sercu, o wielu reformach, zdziałanych przez przewrót narodowy w Niemczech, nie mogą myśleć inaczej, niż z zazdrością. Ktokolwiek bolał nad fatalnym doborem książek w naszych tanich, z „dobroczynności" utrzymywanych czytelniach, z zainteresowaniem musiał powitać wiadomość o stanowczem i demonstracyjnem oczyszczeniu czytelni i bibljotek w Niemczech z literatury, w mniemaniu tubylców, rozkładowej. Spalenie najrozmaitszego świństwa na stosie było wymownym dla Europy sygnałem stanowczości, z jaką naród niemiecki postanowił dbać o czystość rodzimego stylu w kulturze. Bezwątpienia my inny ułożylibyśmy katalog świństwa, niż Niemcy; mamy inne. Ale sprawy kultury w Polsce urządzane są podług kryterjów „państwowych". A kryterjum to, które jest dziś glejtem i przepustką dla utworów literackich, zupełnie dostrzec nie pozwala szkodliwości Kadenów, Boyów i Słonimskich, jako dostawców strawy ideowej dla rzesz czytelniczych szerokich. Nikt nie myśli o tem w sferach urzędowych, żeby np. „Mateusza Bigdę" uznać za pozycję w bibljotekach popularnych szkodliwą. Sygnały dezynfekcji ideowej, którą naród niemiecki po swojemu u siebie uskutecznia, były pięknym w swej stanowczości gestem europejskiego społeczeństwa.

JAK ŁATWO umysłowości banalne zyskują u nas reputację „oryginalnych", ba, „trzeźwych". Rzadkim przykładem myślenia nietrzeźwego był wydrukowany w „Naszym Przeglądzie" głos Boya o losie żydów w Niemczech. „Każdy, kto zdolny jest czuć po ludzku, współczuje z męczeństwem, jakie przechodzą żydzi w Niemczech". Jakiem „męczeństwem"? Czy wiele sroższem od tego, jakie przechodzą np. Polacy w Polsce? Wypadki zmaltretowania fizycznego spokojnych żydów były— jak dziś już widać z całości obrazu—bardzo nieliczne; to nie „pogromy" stanowiły o „męczeństwie". „Męczeństwo" żydów wyraziło się przedewszystkiem w procentowem zredukowaniu ich udziału w zawodach wolnych do stosunku, odpowiadającego ich liczbie w społeczeństwie niemieckiem. Ale

pomińmy nawet kwestję procentu. Uderzają przecież same fakty. Potwornością ma być (dość powolne) wypieranie żydów z życia gospodarczego Niemiec; a nie jestże potwornością wyparcie Polaków z handlu w Polsce? Niekulturalne ma być usunięcie żydów ze stanowiska redaktorów i inspiratorów prasy; a pomyślny dla kultury ma być stan rzeczy, gdy żydowskie „Wiadomości Literackie" utrzymują się na rynku, jako najpopularniejsze w Polsce pismo literackie? Straszne jest, kiedy Niemcy wypierają żydów z adwokatury; a nie straszne, kiedy żydzi w Polsce monopolizują adwokaturę? Skandaliczne, kiedy żydzi dopuszczani są na wyższe uczelnie w odsetku procentowym; a poprawne, jeśli Polacy nie osiągają swego odsetka? Męczeństwo Polaków w Polsce (jeśli mówić już pięknym językiem Boya) jest podobnie okrutne, jak męczeństwo żydów w Niemczech, oczywiście zaś kwestja środków, jakiemi się ten skutek osiąga, jest kwestją drugorzędną. Chodzi o sam skutek. Śmieszne jest, jeżeli uderzenie pałką sosnową liczy się za cios, a uderzenie dębową nie liczy. Nie, cios w obu wypadkach jest podobny; i podobny w niejednem los intruzów w Niemczech i autochtonów w Polsce. Tylko zmysł proporcji, porównywając te „podobieństwa", cierpi w obu wypadkach niejednakowo.

NAUKA I LITERATURA

Z LITERATURY ŻYDOWSKIEJ

NIEBYWAŁA poczytność, jaką cieszy się „Zmierzch Izraela" H. Rolickiego, świadczy o tem, że społeczeństwo nasze zaczyna rozumieć potrzebę oświecania się co do spraw świata żydowskiego; znamienna jest i dyskusja na temat stosunku polsko-żydowskiego, otwarta niedawno na łamach „Gazety literackiej". Zwrócić należy uwagę i na to, że ze strony żydowskiej też ujawniać się zaczyna tendencja wyświetlania, na swój sposób oczywiście, spraw judaistycznych *ad usum* polskiego i wogóle europejskiego czytelnika. Ostatniemi czasy pojawiło się zwłaszcza dość publikacyj na temat prozelityzmu i wogóle stosunku wiary żydowskiej do chrześcijaństwa. Osobliwe są zwłaszcza wynurzenia „żyda chrześcijańskiego" Gabrjela ben Jehudy (Hennera), który stara się odłączyć kwestję religji od narodowości żydowskiej. Jeżeli można wierzyć w ideowe pobudki tego autora, to uwierzyć w nie — pomimo wszelkich zapewnień — trudno, gdy chodzi o niejakiego J. T. Trebitscha-Lincolna, węgierskiego żyda, którego pamiętnik p. t. „Największy awanturnik XX wieku" wydała w poprawnym przekładzie dr. Zbigniewa Grabowskiego firma R. Wegnera w Poznaniu.

Oto p. Trebitsch przeszedł na wiarę chrześcijańską, jak powiada, „z przekonania" — uznawszy fałsz i niedorzeczność nauk talmudycznych. Wyrzekłszy się (podobno) dostatków i wysokich stanowisk, ofiarowanych mu przez Żydów w razie powrotu na łono Abrahamowego plemienia, zajął się propagandą anglikanizmu wśród Izraela; właściwie nietylko anglikanizmu, bo i różnych innych odłamów protestantyzmu, do których kolejno sobie wstępował (ładne nawrócenie!). Aczkolwiek rzekomo porzucenie judaizmu było dla p. Trebitscha połączone z wielką ofiarą pieniężną („zamknięcie sakiewki ojcowskiej"), to jednak ten „apostoł" bez żenady opuszcza swoje „duchowne" stanowisko, gdy mu pastor Burtt odmawia wypłacenia zaliczki na niewygłoszone jeszcze odczyty „kaznodziejskie"... Wzruszający apostoł i „ideowiec"... Niebawem wyłazi szydło z worka. P. Trebitsch, który już przybrał nazwisko angielskie Lincoln, jak okazuje się, po to przeszedł na chrystjanizm, by móc zkolei, jako obywatel angielski, dostać się na intratne stanowisko członka Parlamentu, otwierające dostęp do międzynarodowej polityki ekonomicznej. W czasie feryj parlamentarnych jedzie sobie pan poseł... do Galicji, żeby tam „robić geszefty" w nafcie, pomaga mu w tem rodowity *Judeus* dr. Segał, przedstawiający swego rodaka jako „pełnomocnika Rockefellera" etc. etc. Słowem geszeft „bezinteresownego apostoła" idzie doskonale, w spółce z Offenheimem, Beerem, Weingartem, Ladenburgiem. Sami swoi!... I już „cichy proboszcz" Trebitsch „wydobywa sobie naftę z własnych szybów w Rumunji", gdy naraz wybucha wojna... Podejrzany o szpiegostwo, oskarżony o różne malwersacje, p. „Lincoln" chroni się przed odpowiedzialnością do Ameryki; parę razy udało mu się wymknąć z rąk sprawiedliwości, aż go wreszcie przymknięto w więzieniu. Po wojnie dostał się do Niemiec i brał udział w różnych burdach politycznych, niby to mających na celu zemstę na Anglikach, a w gruncie rzeczy dobre napchanie kieszeni. Trudni się w Berlinie podrabianiem banknotów 1000-rublowych, mimo to uważa się za człowieka uczciwego... bo nie ukradł, choć mógł, sumy 200.000 marek od pułkownika Bauera... Trudni się i szpiegostwem odrazu na dwie strony... i oburza się, gdy jedna ze stron, poznawszy się na jego grze, nietylko nie wypłaciła sum zaliczki, ale kazała natychmiast wynosić się z kraju (z Czech). Słowem, szachrajstwo za szachrajstwem... a wszystko ideowe! Gdy już nawet w Chinach poznano się na p. Lincolnie, ten „apostoł chrześcijański" staje się buddystą, by w cichym klasztorze tybetańskim ukryć się przed światem — co nie przeszkadza mu robić nadal geszefty, choćby w postaci grubo płatnych prac publicystycznych...

Innego rodzaju wrażenia odnosimy z lektury wspomnień słynnego Uriela Akosty (Gabriel da Costa), ogłoszonych — w zręcznie archaizowanym przekładzie K. Dresdnera — nakładem „Bibl. Filomaty". Autor ten — postać znana z dramatu Gutzkowa — pochodzący z rodziny przechrztów portugalskich, uciekł do Holandji i tam wrócił do wiary swych przodków. Nie wyszło to mu na dobre, gdyż jego nowi współwyznawcy poczęli go dręczyć w sposób okrutny, depcąc w nim nawet samą godność człowieczą. Przerażająca ciemnota talmudystów, ich zabobony i brak kultury, ich szowinistyczna i tępa zaciekłość, fanatyzm ślepy, odmalowane tu zostały słowami prostemi, ale wstrząsającemi. Tym, którzy mówią o nietolerancji „gojów" w stosunku do żydostwa, radzić należy, by przeczytali sobie tę książeczkę — przez żyda napisaną i przez żyda przetłumaczoną. Przekonają się, że „antysemitnikami" najgorszymi — są żydzi.

(J. B.)

ZE SPORÓW O AUTORSTWO

HISTORJA piśmiennictwa zna długie i uciążliwe spory o autorów. Zainteresowania to raczej filologiczne. Czytelnika więcej obchodzi utwór, tekst, niż nazwisko. Najpiękniejsze wiersze Kochanowskiego i Karpińskiego wędrują ludem bezimiennie. Miarą popularności społecznej jest właśnie dla tekstu literackiego zagubienie „pod strzechami"—nazwiska.

Rejestrująca i pedantyczna historja literatury znać musi i ludzi, nietylko oderwane dzieła. Dla porządku, dla bibljografji! Nadto jednak, dopiero wówczas, związany z autorem tekst literacki nabiera oddechu prawdziwego życia: inaczej go rozumiemy. Łatwo sprawdzić, zajrzawszy do dziełka G. Korbuta: „Wstęp do historji literatury polskiej", by stwierdzić, ile trudu naukowego wyzwoliły przewlekłe spory o autorstwo pism Reja, Zimorowiczów i t. p. Jak szarady nierozwiązane trwają aż dotąd akademickie dociekania — zwłaszcza na terenie staropolszczyzny — o właścicieli prawych biografji Reja, „Proteusa abo Odmieńca", „Oblężenia Jasnej Góry". Czasy nowożytne, wśród nieprzebranego bogactwa archiwaljów, które zostawiają, łatwiej mogą rozwiązać podobne trudności.

Historycy i miłośnicy literatury dawnej śledzą z zaciekawieniem rozgrywające się aktualnie podobne kontrowersje.

Dr. Józef Birkenmajer, gruntowny znawca literatury polsko-łacińskiej, zabrał głos na kartach „Przeglądu Humanistycznego“ w sprawie autorstwa popularnego przez wiersze makaroniczne Mickiewicza „*Carmen macaronicum*“ Kochanowskiego. Rzecz ukazała się także w odbitce p. t.: „O autorstwie *Carmen macaronicum*“, Lwów, 1932. Sprawę zagaił przed kilkoma laty B. Erzepki, uzasaadniając tezę, że autorstwo makaronu przyznać należy nie Kochanowskiemu, lecz Klonowiczowi. Dyskusja (Dobrzycki, Brückner) nie przyniosła decydujących rozstrzygnięć. Pierwszy Birkenmajer wziął rzecz całą pod światło, uważnie rozejrzawszy argumenty sprawy. Szło przecież o uszczuplenie spuścizny poety, który pozostał i dziś jeszcze — „Książę narodowych rymotwórców“ — kochaniem wieku.

Wywody autora nie są szczęśliwe dla Klonowicza. Dokładne zbadanie uzasadnień Erzepkiego okazało niedostateczną ich wagę. Nie Klonowicz bawił się makaronem. Analiza tekstu utworu, prawdziwie sumienna i gruntowna, rozważająca jego formę poetycką (język, rytm), ale także zakres treściowy, pozwala bez obawy błędu powrócić do Kochanowskiego. „Wielce skłonny jestem“ — pisze Birkenmajer — „przysądzić „*Carmen macaronicum*“ ponownie Kochanowskiemu“. Publikacja autora, jakkolwiek w założeniu polemiczna, pomnaża wiedzę o poecie nie małą garścią istotnych i ważnych szczogółów.

Oto z wieku XVI długi krok w siedemnastowieczyznę. Dyr. Zygmunt Mocarski w „Pamiętniku Literackim“, 1933, 1, odpowiada na pytanie: „Kto jest autorem epigramów: Postny obiad abo zabaweczka i intermedjów: Uciechy lepsze y pożytecznieysze, a niżeli z Bachusem y Wenerą“. Wynik tych rozważań nie może liczyć na donioślejszy rezonans: nie o Kochanowskiego chodzi tym razem. Autorem obu pisemek okazał się osłonięty kryptonimem pleban z Wysoki, ks. Hjacynt Przetocki. Doniosłość naukowa tego rozstrzygnięcia jest wcale ważna. Ks. Przetocki, pospolity prowincjonalny literat, nie wznoszący się nad poziom wieku autor kościelny, moralista, panegiryzujący kaznodzieja, niespodziewanie wyłania się ze swych czasów wraz z temi dwoma uciesznemi zbiorkami, jako postać żywa, pełniejsza i pociągająca, warta osobnego miejsca w literaturze, do ktorej dotychczas proszono go półgębkiem.

Czytelnika Mocarskiego, gdy zmierza do końcowych konkluzyj, zastanawia precyzyjność metody tej pracy. Wyzyskując nad podziw rzetelnie wszelkie przekazy bibljograficzne i historyczne, nie wdaje się autor w zawodną nieraz analizę estetyczną. Konstrukcja cała, operująca materjałem poświadczonym źródłowo, pedantyczna i misterna w budowie, celna w przeprowadzeniach prawdy, jest niewątpliwie wzorem roboty podobnej. E. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Do literatury naukowej, poświęconej badaniom życia i zasług Tadeusza Kościuszki, przybywa obecnie studjum Bernarda Chrzanowskiego „Tadeusz Kościuszko, a „powszechna edukacja““, wydane nakładem wydawnictwa „Przyjaciel Szkoły“ w Poznaniu. Z przypisów, podanych na końcu książki, widać, jaki ogrom materjałów zużył autor do swej pracy: akty, listy, studja historyków i artykuły publicystów. Dzięki temu ukazał w całej pełni postać tego bohatera narodowego, wodza i obywatela, a przytem w szczególności uwydatnił jego ideały rozpowszechnienia w narodzie nauki. Kościuszko, po ukończeniu Szkoły Kadetów jako jeden z najzdolniejszych uczniów i uzyskaniu awansu na wicebrygadjera z rangą kapitana, udaje się do Paryża dla kształcenia się w tamtejszej akademji malarstwa i rzeźby. Po dziś dzień nazwisko jego figuruje w spisach akademji: Tadeusz Kościuszko, „malarz z Warszawy“. Żądny wiedzy rozczytuje się w literaturze ojczystej i literaturze klasycznej, w dziełach modnych wówczas filozofów, ekonomistów i polityków francuskich i angielskich. „Książki były mu przez całe życie dobrymi towarzyszami. Pracuje nad sobą bezustannie“. Podróżuje po Szwajcarji, Włoszech i Niemczech. W Ameryce walczy o wolność Stanów Zjednoczonych. A gdy w lata później wrócił do kraju i osiadł we wsi Siechanowice na roli, stara się w uprawie ziemi i gospodarstwie zastosować i upowszechnić wiadomości rolnicze, nabyte zagranicą. Zaprowadza ulepszenia. Nabywa z Anglji nowy jęczmień i nasiona trawy. Próbuje wyrabiać sery holenderskie Zajmuje się ogrodnictwem i sadownictwem.

Rozkochany w narodowości, o umyśle wszechstronnym i realnym. Charakter czysty i rycerski, godny mężów starożytności, chwalonych przez Plutarcha. Talenty swe i wiedzę spożytkowywał dla dobra ojczyzny. „Znał w wysokim stopniu inżynierję, budowę dróg i mostów, architekturę wojskową; celował przecież w Ameryce ufortyfikowaniem pozycji... Wszyscy dowódcy amerykańscy zaznaczają to jednomyślnie... U nas doskonale oszańcował Warszawę. Znał dobrze taktykę wojskową, zaprowadził nową broń w piechocie, kompanje strzeleckie, przeznaczone dla służby wywiadowczej, patrolowej i walki tyraljerskiej. Przywiózł tę nową tyraljerską taktykę z Ameryki... położył szczególne zasługi w wyćwiczeniu piechoty na sposób pruski...“ O podręczniku Kościuszki dla akademji wojskowej w Ameryce pisał jenerał Dawie, że „pracy podobnej nie posiada jeszcze żadna armja w świecie“, i że jest dziełem oficera „mistrzowsko panującego nad przedmiotem“. Jednak nad tą wiedzą przeważały jego cnoty. Słusznie też B. Ch. powtarza zdanie historyka Szujskiego, że „często cnota jest cenniejszą i ważniejszą dla narodu, niż genjusz“.

Umiłowaniu narodu towarzyszyła stale troska o kult oświaty, wedle przekonań tak bliskiego mu Kołłątaja, że „oświata dokona przeobrażenia ludu, nauczy pracy i rządności“. Nie dużo mamy Kościuszkowskich pism, a nieledwie w każdem powtarza się oświatowe hasło. Jak mówi o tem historyk Sobieski, „nie chodziło Kościuszce tak o wiedzę, jak o wzbicie narodu całego na wyżyny etyczne“. Pojął to i uwydatnił Bernard Chrzanowski w odmalowaniu portretu historycznego i psychologicznego Kościuszki. „Takiego“ — mówi „połączenia wodza z szablą w dłoni, przelewającego krew za wolność kraju, a przytem nauczyciela z książką w ręku, głoszącego powszechne nauczanie i miłosne wychowanie, świat dotychczas nie znał. Wydała je Polska“. (A. W.)

*

Bardzo ważne zagadnienie „Stosunków handlowych Polski z krajami imigracji polskiej“ porusza prof. dr. Stanisław Głąbiński w broszurze, noszącej ten tytuł (Warszawa. Nakładem Naukowego Instytutu Emigracyjnego i Kolonjalnego, 1931 r., str. 33) Myśl przewodnią broszury oddają najlepiej następujące słowa autora: „Sądzę, że nie potrzebuję powtarzać, że sprawa rozwinięcia stosunków handlowych z krajami naszej emigracji zamorskiej ma doniosłe, pierwszorzędne znaczenie dla gospodarstwa narodowego Polski, a w związku z niem także dla siły i niezależności polityki emigracyjnej, albowiem podniesie znaczenie Polski w świecie, ułatwi nam stosunki z państwami naszej emigracji i zwiąże ją z macierzą silniejszemi węzłami moralnemi i materjalnemi“. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

NA KWIECIEŃ i pierwsze dni maja sale wystawowe IPS-u objęło w posiadanie Wilno. Przewodnik i organizator ruchu artystycznego w Wilnie, twórca t. zw. „szkoły wileńskiej“, prof. Ludomir Ślendziński urządził swoją wystawę zbiorową i wraz z nim wystąpiło „Wileńskie towarzystwo art.-plastyków“. Wspomniana „szkoła“ i jej duchowy przywódca zajmują w naszej sztuce współczesnej pozycję dotyla odrębną, że pożyteczne będzie podmalowanie ogólnego tła, zanim przystąpimy do wskazania bardziej indywidualnych cech jednostek.

Sam Ślendziński (ur. w r. 1889) kształcił się w Petersbuskiej Akademji Sztuk Pięknych i niektóre znamiona, niemal od zarania w jego malarstwie istniejące, mianowicie: posmak nieco chłodnego, akademickiego klasycyzmu, zostały wyniesione zapewne z tej północnej uczelni.

Rodzaj malarstwa, uprawiany przez Ślendzińskiego, znajduje się w najbliższem sąsiedztwie sztuki dwu wybitnych malarzy rosyjskich, Ja-

kowlewa i Szuchajewa. Ci dwaj, wśród swoich, a nasz artysta u nas, uważani są za nader wybitnych rysowników. Samo określenie: dobry rysunek w danym wypadku nie wystarczy, bo może obejmować zbyt wielki krąg dzieł, całkiem odmiennych ujęciem, rozmaitych artystów. Znakomicie rysuje np. także i Wyczółkowski.

Walory rysunkowe obrazów Ślendzińskiego polegają na dosadnem, jaknajbardziej plastycznem określeniu bryły, przy jednoczesnem syntetyzowaniu kształtu, zaczerpniętego z natury. Posługuje się artysta w tym celu techniką idealnie gładką (o efektach fakturowych — nie mówię), nie pozostawiającą najmniejszych śladów pendzla, jasno, starannie, wyraziście, a zarazem i nieco sucho cieniującą każdą formę jednocześnie, ostro odcinając ją od form sąsiednich.

Te najbardziej zasadnicze cechy płócien obecnego dziekana wydziału sztuki Uniwersytetu w Wilnie, pojęte jako dążność do rzetelności rysunkowej, zyskały mu niemałą liczbę zwolenników i uczniów. Wyznawcy podobnej ideologji, w pewnych wypadkach jednak ujmowali ją zbyt powierzchownie, upodobawszy sobie głównie technikę mistrza, włącznie do naiwnego już naśladownictwa brunatno-czerwonego koloru twarzy. W rezultacie obrazy, których założeniem miał być dobry rysunek przedewszystkiem, dawały zamiast syntezy schemat, lekkomyślne prześlizgiwanie się ponad zagadnieniami kształtu ludzkiego. Od tej schematyzacji nie są wolne, w pewnym stopniu, dzieła samego nauczyciela: Ślendziński na wystawie, obok prac o istotnych wartościach rysunkowych, zgromadził i sporą garść takich, gdzie rysunek wykazuje nazbyt wiele usterek i powierzchowności.

Przechodząc z kolei do bardziej osobistych cech malarstwa Slendzińskiego, musimy zaznaczyć, że artysta, zajmując się plastyką bryły, nie usunął poza obręb swych zainteresowań ani kompozycji, ani koloru. Natchniony dziełami wczesnego renesansu, nieraz osiąga szczęśliwą rytmikę form. W rozkładzie plam barwnych, wolnym od naturalizmu, niezawsze otrzymuje równie pomyślne wyniki. Kolor i jego natężenie walorowe nie wszędzie trafnie umiejscowia poszczególne płaszczyzny w planach perspektywistycznych. Zestawienia barwne, aczkolwiek często wykazują nieprzeciętne ambicje artysty, niezawsze dadzą się głębiej uzasadnić.

Koloryt przeważnie lokalny, czyni obrazy mniej — niż to mogłoby być — malarskiemi, a opisana już technika usztywnia kształty na nich zarysowane, upodobniając je do rzeźby. Jeszcze krok i malarz stał się rzeźbarzem zarazem, łącząc malarstwo z płaskorzeźbą. Fakt ten wzbogacił niewątpliwie środki techniczne plastyka i możliwości wypowiedzi, zarazem stawiając artystę wobec nowych trudności. Połączenie rzeźby z malarstwem wydaje mi się logiczne i celowe, gdy Ślendziński każe rzeźbie cieniować, a barwie rozgraniczać poszczególne partje obrazu. Mniej natomiast szczęśliwem jest oddanie obu, całkiem odmiennych, środków na służbę temu samemu celowi. Niejednokrotnie, patrząc na jakąś część obrazu, zadajemy sobie pytanie: czy to podrzeźbione, czy namalowane? Dopiero bliższe zaznajomienie się z pracą pozwala nam stwierdzić istotny stan rzeczy. Zapewne, niejednemu to zaimponuje, mam wrażenie jednak, iż tak pojęte zadania sztuki poczynają sprowadzać ją na niebezpieczne tory sztuczek.

Stwierdzając bogatą różnorodność poszukiwań plastyka i skalę podjętego wysiłku artystycznego, musimy zaznaczyć, że Ślendziński rozporządza rozległą wiedzą techniczną, ułatwiającą w znacznym stopniu realizację jego zamierzeń.

*

Wśród wileńskich art.-plastyków wyróżniają się przedewszystkiem Br. Jamontt i M. Rouba. Obaj artyści utalentowani, indywidualni, twórczy, stanowią w sztuce naszej pozycję cenną. Nie naśladują nikogo, ich sztuka ma własne, wyraziste oblicze. Są poniekąd piewcami regjonalizmu. Rouba, poeta kresowego miasteczka, autor małych dekoracyjnych obrazków, pełnych wyrazu i Jamontt, odtwórca fragmentów Wilna, kompozytor pejzaży, których nerw rysunkowy kryje w sobie tajemnicę dramatyczności.

Tymon Niesiołowski, daleko mniej oryginalny, ma obrazy o dużych walorach malarskich. Grafik, J. Hoppen zaleca się nieskazitelną techniką i dobrym rysunkiem. Kulturalne rzeźby, niepozbawione wyrazu, pokazał St. Horno-Popławski.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. BRONISŁAW GUBRYNOWICZ

WE LWOWIE w dn. 5 maja zmarł profesor historji literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim śp. Bronisław Gubrynowicz.

Urodzony 1871 we Lwowie był synem zasłużonego księgarza i nakładcy Władysława Gubrynowicza. Ojciec patrjota (uczestniczył w powstaniu 1863) i czynny w życiu społecznem obywatel umiał otoczyć dom swój szczególnym szacunkiem i synów wychował na dzielnych pracowników. Ś. p. Bronisław wychowany był w atmosferze emigrantów z Kongresówki z dwóch pokoleń (bo i Goszczyński tam był), którym przewodzili bracia Żulińscy, Ujejski, Romanowicz i in.

Po ukończeniu szkoły średniej i uniwersytetu we Lwowie śp. Bronisław Gubrynowicz studjował literaturę zagranicą. Dłuższy czas do r. 1919 był kustoszem Ossolineum i docentem Uniwersytetu Jana Kazimierza. W roku 1920 otrzymał katedrę polonistyki w uniw. warszawskim. Był członkiem Akademji Umiejętności, prezesem wydziału filozoficznego Tow. Nauk. Warszawskiego, członkiem Tow. Nauk. we Lwowie, prezesem Tow. Przyjaciół „Ossolineum" we Lwowie. Założył we Lwowie Tow. Literackie im. Adama Mickiewicza. Redagował czasopisma: „Pamiętnik Literacki" i „Ruch Literacki".

Z ważniejszych jego prac wymienimy: „Malarze na dworze Jana III" (1896), „Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta" (1904), „Kazimierz Brodziński, życie i dzieła" (1917), „Rozwój powieści w Polsce do połowy 18-go stulecia" „Antoni Małecki" (1920), „Józef hr. Ossoliński, człowiek i pisarz (1922).

Do spółki z prof. Hahnem opracował i w r. 1909 wydał w krytycznej edycji wszystkie pisma Słowackiego. Największą bodaj zasługą zmarłego było to, że przy swych stosunkach i zabiegliwości potrafił utrzymać do dnia dzisiejszego wydawnictwo „Pamiętnika Literackiego" i że od szeregu lat zabiegał, aby założony przez niego dla polonistów, a tak świetnie redagowany przez Piotra Grzegorczyka „Ruch Literacki" przy życiu utrzymać.

Ożeniony z Heleną Lewentalówną, stał się współwłaścicielem „Kurjera Warszawskiego" i tu wiele drobniejszych artykułów ogłaszał. Mieszkał stale we Lwowie, gdzie też pochowany został w grobach rodzinnych.

OFENSYWA

POWSTANIEC KASZTAN

CO TAKŻE najbardziej i najczęściej irytowało i irytuje, to to, że są oni ciągle tacy... tacy... powstańcy. Ile razy rocznica powstaniowa, 31 czy 63, oni zaraz, że niby także. I w Kościuszkowskiem także i w Legjonach Włoskich i z Napoleonem także. I zawsze wyciąganie tego Berka Joselewicza i tego Józefa Berkowicza no i rabin Majzels w 63-cim, no i Jankiel z cymbałami w 1812. Że niby nie tylko w r. 1914 przeciw Caratowi, a z Niemcami, ale zawsze przeciw Caratowi i przeciw „Moskalom". Nie poszli w r. 1831 na wojnę: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Chopin. Nie poszli w 63-cim Norwid, Moniuszko, Grottger, Matejko i tylu set wybitnych innych. Ale oni poszli gremjalnie.

Oczywiście i kłamstwo i oszustwo. Jankiel z „Pana Tadeusza", kompletnie nierealna fikcja, bardzo szkodliwa w swych rozgałęzionych konsekwencjach. Takich Jankielów karczmarzy wówczas na Litwie nie bywało ani na lekarstwo. Natomiast dużo bywało szpiegów na benefis armij rosyjskich (Kutuzowa). Potworne rzeczy o okrucieństwach tych żydów wobec uciekających Francuzów (po Berezynie) opowiada w swojej „*Campagne*" hr. de Noailles. Napoleon w „*Memoires de St. Héléne*" pisze: „Żydzi prowjantowali moje wojsko w Polsce. Chciałem im za to dać polityczną egzystencję, narodowość i zrobić z nich obywateli, ale są do niczego niezdolni, jak tylko do szachrowania staremi ubraniami. Musiałem wydać nawet prawa specjalne przeciw ich lichwiarstwu". O szpiegowskiej służbie żydów z Litwy w r. 1812 dają szczegóły wszyscy francuscy historycy. Ciekawych i chcących się przekonać o zupełnej nierealności i niemożliwości typu: Jankiel, odsyła się do książki historyka, prof. Iwaszkiewicza.

W styczniu b. roku, kiedy obchodziliśmy rocznicę powstaniową, żydostwo znów podstawiało łapy i wkręcało się natrętnie. W „Gazecie Polskiej" okropnym powstańcem okazał się *ein gewisser* Eile, pono „historyk", obok którego figurowała jakaś historyczka „Złotorzecka" (Goldfluss?); ta ostatnia napisała „monografję" o przezacnym lwowskim gderaczu B. Szwarcu, któregośmy wszyscy znali i jego opowiadania lubili, który w 63-cim żadnej znów wielkiej roli nie odgrywał, ale z którego namiętna Izraelka robi wielką postać i autorytet dlatego tylko, że staruszek w ostatnich latach strasznie się sierdził na Endecję. W to graj „Złotorzeckiej". Więc dlatego i ona jest powstaniec i rżnie „Moskali", co się wlezie.

W roku 1863-cim żydzi brali duży udział w powstaniu. Ale jako dostawcy, liweranci, geszeftsmani. Robili fortuny na dostarczaniu strzelb, czapek, prochu, koni (Dawid Liban z Galicji), tornistrów. Na tornistrach zrobiły fortuny Wasserbergery z Rzeszowa, może i dziadkowie dzisiejszych mecenasów sztuki robienia interesów przez I. K. C., w otoczeniu mocno niepoważnego Langiewicza też było kilku liwerantów. Całkiem twardo o współudziale żydów w powstaniu styczniowem mówi H. Mościcki w książce p. t. „Pod berłem carów" na stronach 41, 43, 44. Oto jak znów szpiegowali na benefis Moskali potomkowie... Jankiela:

„Jakiś oddziałek powstańczy, przechodząc przez osadę Szczuczyn w pow. Sokolskim, został gościnnie przyjęty przez mieszkańców, o czem gdy się Murawiew dowiedział z denucjacji, przesłanej mu przez żydów ze wsi sąsiedniej, nakazał natychmiast zniszczenie tej wioski i zesłanie wszystkich mieszkańców na Syberję"...

„W tymże miesiącu sierpniu zniszczono w ten sam sposób zamożną osadę szlachecką Iwiany, położoną w pobliżu Kowna. Powodem do tego miało być zorganizowanie oddziału księdza Piotrowicza i Dugaiły, oraz powieszenie w Iwianach kilku szpiegów rosyjskich przez powstańców. O tym wypadku doniósł gubernatorowi (którym był podówczas rodzony syn Murawiewa) żyd karczmarz, jakoby naoczny świadek wieszania. W tej to wsi żołnierze z gorejącemi pękami słomy rozbiegli się po wsi, podpalając chaty tak, że w ciągu kwadransa cała wieś była w ogniu. Parę razy nastąpił silny wybuch, co żyd szpieg tłumaczył przechowywaniem przez szlachtę prochu. Z całej osady została tylko owa karczma owego żyda"...

Tacy to byli karczmarze litewscy w r. 1863.

Zamiast jednak polemizować z p. Henrykiem Mościckim (tym od Radja) „Nasz Przegląd" z 29 St. 1933 (nr. 248) dał olbrzymi wywiad niejakiego p. Baruchim z 95-letnim starcem, słynnym bohaterskim „pułkownikiem nieznanym" z r. 1863, Herszkiem Kasztanem.

Że pułkownik Kasztan musiał odegrać w r. 1863 jednak jakąś rolę, na to wskazywałoby to, że pułkownik Kasztan był przyjęty teraz w styczniu w... Belwederze... W wywiadzie Baruchina jest to stwierdzone. Pułkownik Kasztan, jak się okazuje, był „synem właściciela dużego majątku ziemskiego" *(sic)*, „kochał ziemię polską duszą i ciałem" *(sic)* jako „panicz" poszedł do powstania pod komendę „jenerała Tatrzanowskiego" (od Tater?) i Orłowskiego (w Kieleckiem).

Pułkownik Kasztan opowiada o sobie w stylu Kadenowskim:

„Pierwszy mój chrzest bojowy otrzymałem pod Paźmą, gdzie w potyczce z kozakami zostałem ranny w rękę i głowę. Przewiązawszy sobie rany, wypiłem jednym prawie haustem dużą butlę wódki, którą miałem na siodle, i pomimo dużego upływu krwi, sam jeden wyciąłem w pień oddział kozaków. Bezpośrednio po tej bitwie otrzymałem pierwszy awans i złoty medal. Odwaga moja stała się przysłowiowa w oddziałach generała Orłowskiego..."

Skromny ten Kasztan stuletni, to on nie jest. A może tylko kolega Baruchin „nieco" dodaje? Jedźmy dalej:

„...niedługo przed upadkiem powstania, oddział nasz, składający się z kilkuset ludzi, pod komendą generała Orłowskiego, znalazł się po trzydniowych marszach i potyczkach w lesie pod Syskowem. Ludzie byli zmordowani i piekielnie głodni. Rozbito więc obóz, rozpalono duże ognisko i zaczęto przygotowywać posiłek. Nagle zostaliśmy otoczeni hordami kozaków, w sile około dwuch tysięcy ludzi. Dowództwo nasze potraciło głowę i generał Orłowski zwrócił się do mnie z determinacją: — „Herszko, co robić, napewno zginiemy tutaj wszyscy". Bez namysłu objąłem komendę nad naszymi ludźmi i pocichu wyprowadziłem ich z lasu, pozostawiając jedynie kilku ludzi dla rozpalenia ognia. Kozacy przekonani, że powstańcy obozują w lesie, przypuścili szturm na ogniska, drugi zaś oddział kozaków ostrzeliwał las. Wywiązała się więc wzajemna strzelanina między kozakami, przynosząc im duże straty, w czasie, gdy myśmy zupełnie bez strat wycofali się z ostrzeliwanego terenu. Za ten udany mój manewr strategiczny zostałem mianowany podpułkownikiem i odznaczony złotym i srebrnym medalem".

Wszystko to jest piękne i całkiem prawdopodobne. Tylko nawet pułkownikowska „Gazeta Polska", straciwszy na moment cierpliwość, podkpiwając sobie z tego pułkownika i powstania (przyjętego w Belwederze), zwraca uwagę na to, skąd się wzięły te medale? W powstaniu ni złotych ni srebrnych medali nie rozdawano. Może więc Kasztan jest *homo mendax* i zasłużył raczej na medal za takie rekordy w łgarstwie? Ale może po tej pucówce i tych wcirach w „Gazecie" jednak żydostwo oduczy się czepiania się powstań i udawania kosynjerów i insurgentów?

Irytuje to z tego powodu, że szelmostwo czepiając się brudnemi łapami świętości, judzi równocześnie i szczuje jednych dobrych Polaków przeciw drugim dobrym Polakom, nie wie zaś szelmostwo (*Fremdkoerper*), że w co drugim domu czołowo endeckim przechowują się to na ścianach, to w szafach, to w komodach, to w kasetkach właśnie jakieś... tam... pamiątki po poległych bliskich...

Oj Kasztany! Kasztany, jak długo wy będziecie igrali z cierpliwością polską?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z prawdziwą przyjemnością śledzimy w dziennikach podróże gen. Góreckiego, owacje, śniadania, obiady, bankiety w Europie i Ameryce. Chyba żaden bank gospodarstwa krajowego nie ma tak ruchliwego prezesa. Wszystko idzie, jak z Patka.

*

— Cięższy od „plag egipskich" byłby bojkot towarów niemieckich... — oświadczał wybitny polityk żydowski.

— No to jazda — macie przecież handel w ręku.

— Właśnie to stoi na przeszkodzie, że mamy go w ręku.

Łatwiej było w Egipcie o plagi!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.